

Nr 14

# Anyten Mlek

**Marzec 2002**

*nieregularnik  
intelektualno-artystyczno-psychodeliczny*

**cena 1 zł**

+0,005 zł na  
Fundację Przyjaciół Osamy bin Ladena

Numer dedykowany Zuzi i Magdzie



Anyten Mlek® is a part of Nitro Technologies, Inc.®

**Numer sponsorowany  
przez literkę  $\xi$  oraz cyferkę  $\sqrt{2}$**

# Ostatni Wstępniak w Historii Anytena

Teraz mówię do was ja – Grochu – naczelny Ostateczny. Tak, znowu nam się zmieniły stolki w gazecie, bo była nie pisana umowa w redakcji, że ja będę tym naczelnym, który to wszystko zniszczy, jeśli dojść by do tego miało za mojej bytności w gazecie. A 11 października 2001, około godziny 20, Najwyższa Rada Anytena w składzie: Wieczny Pierwszy Naczelny Ryszard Kostecki i (wtedy jeszcze) Składacz Konrad Grochowski na konferencji telefonicznej ustaliła, że Anyten przechodzi na emeryturę do najbliższej rzeźni. Projekt tego co trzymanie w rękach był efektem 20 minutowego szału w/w Rady.

Ponieważ nie działały na was prośby, groźby i inne środki perswazji, doszliśmy do wniosku, że trzeba przestać się bawić w redakcję nie funkcjonującego zgodnie z założeniami pisma (patrz moje poprzednie teksty o tej tematyce). My przynajmniej mamy poczucie, że odwaliliśmy kawał, może nie najlepszej, ale na pewno dobrej roboty. Przy tym była to dla nas – wszystkich ludzi, którzy przewinęli się przez Anytena – wielka przygoda i świetna zabawa (wiem, że zabrzmiało to strasznie wzniosłe i w ogóle, ale tak najprościej oddać mi to co myślę). Tyle, że ostatnio ta zabawa za bardzo zaczęła przypominać wypruwanie sobie żył, by utrzymać gazetkę, a ponieważ, z oczywistych powodów, których nie będę tu przedstawiał, lubimy swoje żyły, postanowiliśmy to, delikatnie rzecz ujmując, „ołać”. Po co się męczyć bez sensu i bez poparcia.

## Real Wstępniak

1 luty, godzina 19:19:19, rozpoczynam pisanie ostatniego tekstu, który powstał dla Anytena. Jest to za to chyba mój pierwszy tekst pisany bezpośrednio na komputer. Tekst ten to coś, co bardziej, niż to wyżej, zasługuje na nazwę Wstępniaka. Chcę zamknąć tu kilka spraw i ten numer. Po pierwsze Anyten nie upadł, tylko został sprzedany obcemu kapitałowi – patrz ostaniamy strona... Dobra, miało być poważnie, to będzie.

Zauważyliście zapewne, towarzyszu, że wraz z tym numerem (#14), trzymanie w rękę #13 z czerwca. Tak, to nie żadna pomyłka. Po prostu numer, który zacząłem przygotowywać gdzieś koło kwietnia zeszłego roku (jeszcze pod naczelnictwem Pawła) zamknięty został na początku listopada. Tyle czasu zajęło zebranie materiałów. Dlatego występują w nim teksty datowane później niż czerwiec (m.in. większość wyjęczyń). Aby uzmysłowić Wam, dlaczego uważam dalsze czekanie na zgłaszanie się autorów do AM za bezsensowne, w Spisie Treści pozaznaczyłem co jest czyje (R = Rysiek, G = Groch). Czyli 100% tekstów w tym numerze jest moje lub Rysia. W poprzednim też było ich sporo. Wystarczająco, by już wtedy zmienić nazwę na „Rysio-Groch Mlek”. Teraz pozostaje mi tylko wymienić kilka spraw, aby odejść z czystym sercem:

Serdecznie dziękuje tym autorom, którzy do końca pisali do Anytena. Specjalne pod-

Aby było więc jasne:

Niniejszym, mocą i prawem nadanym mi przez Najwyższą Radę Anytena oraz wszystkich mych poprzedników na tym stanowisku, ogłaszam gazetkę szkolną Anyten Mlek funkcjonującą w IX LO im. Klementyny Hoffmanowej w Warszawie za zamkniętą, a imię Anyten Mlek na wieki zas-trzegam.

*(w wolnym tłumaczeniu: AM upadł, a nazwy jego nie wolno nikomu wykorzystać bez naszej zgody)*

Chciałbym, w tym oficjalnym tekście, podziękować wszystkim, którzy kiedykolwiek pisali, rysowali lub jakkolwiek inaczej robili coś dla gazetki oraz wszystkim postaciom, mniej lub bardziej fikcyjnym, które raczyły gościć na łamach AM. Życzę też więcej szczęścia, a raczej bardziej ambitnych czytelników, wszystkim swym następcom, jeśli takowi będą, w roli redaktora gazetki szkolnej w Hoffmanowej (ale już nie AM). Mam nadzieję, że przynajmniej parę osób smutnie westchnie nad małym byczkiem, którego los tak strasznie potraktował i kończę podobnie jak zakończyłem mój pierwszy tekst „interwencyjny”: Dziękuję. Żegnajcie. Oklasków nie trzeba.

Ostatni Naczelny w Historii Anytena  
**Konrad „Groch” Grochowski**

iękowania dla Lysego – Andrzeja Mogiły za ciągle dostarczanie zapychaczy, oraz Kachnie za załatwienie nam matur dla nauczycieli. Nie publikuję ich, gdyż dość długo wisiały na korytarzu i chyba wszyscy zdążyli je przeczytać. Nie umniejsza to jednak mojej wdzięczności.

Bardzo przepraszam wszystkich ludzi, dla których poprawność języka polskiego w Anytenie pozostawiała wiele do życzenia. Zazwyczaj nigdy nie mieliśmy czasu na drobne korekty, a przedziwne dzielenie wyrazów jest zasługą Quarka, który jako program anglojęzyczny, dzielił wg zasad ortograficznych tego języka i nie pozwala wyłączyć tej opcji – nie ma takiej możliwości. To wielka wada tego programu i braku czasu na wychwytywanie wszystkich błędnych „myślników”. Jeszcze raz przepraszam.

Nie zamykamy AM dlatego, że nie mamy komu go przekazać. Ja osobiście widzę parę osób w szkole, które mogłyby po mnie zajmować się składem, itd. (tak moi drodzy, Guru mówi do Was), ale nawet im tego nie proponowałem, po co robić im nadzieje.

To, że musieliśmy rozszyfrowywać wszystkie pseudonimy piszących było efektem umowy między redakcją a dyrekcją. Redakcji nigdy to się nie podobało, ale żeby pozostać uczciwym zaznaczam, że Hanson to Krzysztof Godowski.

Chwała Wielkiemu Sawikowi (Marcin

## Spis Treści



Okladka (R&G)	1
Ostatni Wstępniak (G)	2
Real Wstępniak (G)	2
Spis treści (R&G)	2
Foto redakcji (R)	3
Psychoza (G)	4 - 5
Sens życia (R)	5
Logorhea (R)	6 - 7
Etiudy (R)	7
Traktat (R)	8 - 9
Nad szklanką... (R)	10
Baśń (R)	11
Aciteop sra (R)	11
Mechanizm (R)	11
Hoffmanowa (R)	12
Wewnątrz (R)	13 - 16
Kult (R)	16
Sreberko (G)	17 - 20
Splątanie (G)	20
Coś (G)	20
Przeminęło... (G)	21 - 22
Outro (R)	23
Real Okładka (R&G)	24
Tematy maturalne 2002	25 - 27
Dowody winy bin Ladena	28
Manifest komunistyczny 29	115
Pełny kod genomu ludzkiego	115 - 2184
Prawdziwy Sens Życia	2185
Instrukcja do palenia na stosie	2186 - 85466
Esej o tym, jak naprawiać semafor	85467 - 218643
Odpowiedź na pytanie "Czy Bóg istnieje?"	218644
Dokładne daty śmierci czytelników tego numeru	218645 - 219534
Wsótrzędne wszystkich kozich bobków na świecie	219535 - 220001
HIT NUMERU:	
Fotografie rozebranych tasiemców	220002 - 250000

Sawicki) za prowadzenie rozliczeń AM aż do ostatniego grosika. To on zawsze doprowadzał do tego, że stać nas było na papier na następny numer.

Wielkie dzięki także dla Rysia, który mimo dużej już odległości czasowej od opuszczenia AM i szkoły, wciąż robił korektę AM, pisał i wspierał mnie moralnie (he, he, dobre, co?) w tworzeniu AM.

Przy okazji: Rysiek zapomniał zaznaczyć, że wszystkie cytaty w „Hoffmanowej” naprawdę zaistniały w Hoffmanowej

Co do moich tekstów, to „Splątanie” należy czytać po „Psychozie” i „Przeminęło z fają uderzeniową”

To by było na tyle. Żegnajcie

Naczelny w Stanie Spoczynku  
**Konrad „Groch” Grochowski**

Co by tutaj głupiego napisać?... Grochu mówi: "yyyy...."

# anyten mleki

i jego komando:



Marcin Sawicki  
(Sawix)



Adam Gąsiewicz  
(Jurij)

*Ostatni redaktor naczelny  
i ostatni redaktor w ogóle:*



Konrad  
Grochowski  
(Grochu)

*Rysiek Kostecki  
(Rysieq)*

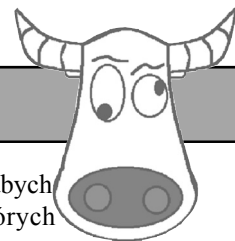


*Pierwszy redaktor naczelny:*



Karolina Kuczyńska  
(Qczyrna)

Anyten Mleki nie mógłby być tym czym był również dzięki osobom, które, chociaż czasem krótko, były w jego redakcji, a zresztą większość z nich była w swoim czasie redaktorami naczelnymi i tak naprawdę tylko fakt nieposiadania przeze mnie ich zdjęć spowodował, iż nie będzie ich fotek, a tylko (jakkolwiek równie chlubne) wyszczegółowienie; składamy więc hołd: Pawłowi Lubowieckiemu (Pavlo), Łukaszowi Omaście (Skavenowi), Tomkowi Früboesowi, Markowi Górskiemu (Góralowi) oraz Marcie Cieślukowskiej. Pozdrowionka małe dedykujemy też prof. Włodzimierzowi Iliczowi Natorfowi, który wprawdzie z wnętrzem Anytena miał mało wspólnego, ale za to ogromne zasługi położył (i skserował) w kreowaniu (kserowaniu) jego zewnątrz. Stukrotnie THX!



...Staął pod płotem. Był on (płot) pod napięciem, a od chodnika odgradzały go zasieki. Wszedł na teren podstawówki obok – przy płocie granicznym nie było zasiek, jeszcze. Podszedł do starej, zaspawanej furtki. Na szczęście spawy nie były kwasoodporne. Lekcje chemii na coś się jednak przydały. Po chwili był w środku. Boisko przebiegł bez większych przeszkód. Potem szybko, uciekając przed światłami szperaczy, prawie skokami dotarł za budynek gospodarczy. Czujniki dymu, rozpylacze gazu pieprzowego i chemikalii znaczących nieostrożnych palaczy wyglądały w ciemności przerażająco. To były pozostałości po początkach projektu. Zaczęło się od zwykłych identyfikatorów...

*Oficjalnie było to dla bezpieczeństwa uczniów. Teraz już nikt nie pamięta, jakie były prawdziwe motywy. Dość szybko dodano do identyfikatorów karty magnetyczne w celu ułatwienia procesu legitymowania przy wejściu. Jednocześnie unowocześniono system fotokomórek tak, że można było stwierdzić czy ktoś wchodził czy wychodził z korytarza i z grubsza można było oszacować gdzie i ile jest osób...*

Dostanie się do kotłowni nie zajęło mu wiele czasu – chroniły ją tylko stare kłódki – 2 minuty wytrychem. W środku przypomniał sobie swój pierwszy plan: podłożyć tu bombę i cześć. Ale po ostatnim remoncie Centrum Dowodzenia ze wszystkich stron otoczone jest metrowej grubości murem. Podłoga niestety też...

*Rozwój systemu kamer oraz głośniki "do zwracania uwagi" na każdym piętrze to był pierwszy krok, który wywołał duży sprzeciw uczniów. Ale, że już dawno ich życie ograniczyło się do wegetacji i zerowej inicjatywy, protesty szybko ucichły. Ci co krzyczeli za długo i za głośno po weekendzie po prostu nie przyszli, a w ich domach nikt nie odbierał telefonów.*

Podszedł do ściany i dokładnie ją opukał (ale nie za głośno). W odpowiednich miejscach podłożył małe ładunki.

*Na początku nikt nie wierzył aby kamery były też w toaletach, ale gdy głos woźnej z megafonów został zastąpiony komputerem podłączonym do bardzo*

*dokładnego systemu fotokomórek i mikrofonów, a przed wejściem lub wyjściem z sali trzeba było używać karty magnetycznej, wszyscy byli gotowi uwierzyć, że są obserwowani nawet po wyjściu ze szkoły. Nikt już wtedy nie protestował. Zastraszenie osiągnęło stopień, przy którym zaczęły się pojawiać pierwsze donosy w skrzynce "Listy do dyrektora".*

Obudziły go słowa "Rączki, rączki Kloss". Najpierw się przestraszył, potem oprzytomniał i uświadomił sobie, że słyszy "Stawkę...", którą w stróżówce ogląda Ciocia Adela\*\*. Odkąd wczepiono chipy i ciągle patrzeć przez kamery stało się niepotrzebne, monitor znalazł nowe zastosowanie...

*Potem rozpoczęło się przeszkalanie i wypożyczenie woźnych, oficjalnie by zaoszczędzić na ochronie. Wkrótce każda miała shocker, gaz pieprzowy i cyklon B dla bardziej opornych oraz zastrzyk antybiegunkowy. Te zastrzyki to był efekt nowego oprogramowania na głównym komputerze systemu ochrony. Po prostu pewnego dnia z megafonów, z których zazwyczaj słychać było komunikaty komputera w stylu: "Uczeń Żebrzydowski nie może wyjść na korytarz – liczba osób na korytarzu osiągnęła maksimum – 10", "Dlaczego uczeń Beltowski próbuje wejść do sali 214, przecież nie ma tam lekcji? Niech uczeń odejdzie od drzwi i nie blokuje przejścia", itd., wydobył się (jeśli, drogi czytelniku, zapomniałeś, już o co chodzi w tym zdaniu to napij się herbatki na sklerozę z tego... no... eee...ten tego.. wiecie o co mi chodzi\*) komunikat: "Uczeń Kowalski po raz trzeci dzisiejszego dnia korzystał z kabiny nr 3 w toalecie na 2 piętrze. Woźna X54 (uproszczenie imion dla opróżnienia pamięci komputera) ma sprawdzić co takiego jest w tej kabine. Jeśli nic, proszę zaaplikować uczniowi 20 miligramowy zastrzyk antybiegunkowy." A był to już czas zasady: głos z megafonu każe, człowiek robi. Więc woźna X54 wzięła i poszła do apteki po zastrzyk...*

Dzwonek na pierwszą lekcję wyrwał go z zamyślenia. Znów stał się czujny. A nuż któraś woźna pójdzie na obchód i zajrzy do kotłowni? Był to jeden z dwóch słabych punktów jego planu.

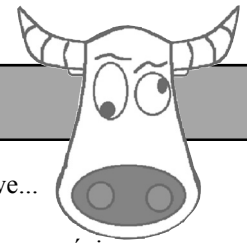
Tych dwóch słabych punktów, z których zdawał sobie sprawę...

*Namalowania pasów na korytarzach nie trzeba było już uczniom tłumaczyć. Sami się przekonali, że to w celu usprawnienia ruchu. Miejsca "parkingowe" na korytarzach zostały najpierw ograniczone, a potem całkowicie zlikwidowane. Wszyscy już tak przywykli do nierozmawiania (ze względu na podsłuchy), że od razu przechodzili do sal i zostawiali w nich do końca przerwy. Przerwy zostały więc skrócone do minimum, a zaoszczędzony w ten sposób czas został wykorzystany na dodatkowe lekcje ideologiczne (wyjaśniające uczniom cudowne zmiany zachodzące w ich otoczeniu).*

Pierwsza przerwa. Chwilę po dzwonku po szkole przeszedł odgłos ciągle otwieranych i zamykanych automatycznych drzwi oraz tupot nóg. Wykorzystał ten ogólny szum do odpalenia ładunków. Nikt nie usłyszał głuchego tąpnięcia w szatni 2 Fu wyciszzonego przez grube zimowe kurtki.

*Te automatyczne drzwi też ewoluowały. Najpierw karty magnetyczne, potem było... tak, chyba od razu, Ujednolicenie Fryzur. Niby, żeby nikt się nie wyróżniał. Ale kiedy wszyscy byli już tysi okazało się (a oficjalnie dopiero wtedy pojawił się ten pomysł), że tak łatwiej jest po prostu wytatuować na czole i tyle głowy kod kreskowy. To przyspieszyło procedurę przechodzenia z klasy do klasy. Ale czytelniki łatwo się psuły lub uczniowie ustawiali się nie tak... Wszczepienie chipów pod czaszkę naprawdę ułatwiło życie. Było też tańsze. Zamiast czytników przed każdymi drzwiami, 3 czujniki na piętro dokładnie określające pozycję ucznia. Jeśli znajdował się przed drzwiami do sali w której miał lekcje i była przerwa, otwierały się. A jak nie to nie.*

Wszedł na korytarz. Kilka osób jeszcze bezcelowo się szwendało. Ktoś się z kimś witał: "Cześć 3C/5!". Tak, odkąd dla dalszego zwolnienia pamięci komputera używał on oznaczeń zamiast nazwisk, uczniowie sami zaczęli tak na siebie wołać. Bał się, żeby go ktoś nie rozpoznał. Wiedział, że jako bezchipowy uciekinier jest poszukiwany i



## Psychoza

wypowiedziane jego imię lub oznaczenie wywoła cichy alarm. Woźne dostaną o nim komunikat bezpośrednio do słuchawek, prawie już wrośniętych w ich uszy. Spokojnym krokiem podszedł do automatów z Colą. Obawiał się czy ktoś nie zwróci uwagi na to, że automat nie zapali zielonej lampki co oznacza: możesz korzystać. Nawet zakupy Coli były kontrolowane, a on, bezchipowiec, nie mógł korzystać z automatów. Ktoś może go "wyspać" nawet nieświadomie, pytając czy automat się nie zepsuł. To był drugi słaby punkt.

Dzwonek, koniec przerwy. Lekkie zamieszanie (tego nie udało się usunąć, jeszcze). Wślizgnął się za automat, wspiął się na podest Centrum Dowodzenia, w slangu, ze względu na

karabiny maszynowe, zwany Redutą. Nim automaty zdążyły się odwrócić, unieszkodliwiła je eksplozja granatu. W szkole zapaliło się czerwone światło i megafony zaczęły wyć. Drzwi chciał otworzyć z kopa, ale zamontowano chyba już pancerne. Ale skorzystał z zasady: gdzie glan nie pomoże, tam z Pancerfausta poślij. Po sekundzie był już w środku i stanął przy głównym komputerze. Wyjął z plecaka DrMSW (Domowej Roboty Mieszankę Silnie Wybuchową). Ostatni rachunek sumienia. Ostatni raz przekonuje się, że działa dla dobra innych. Teraz tylko złapać za detonator (ale zimny!) i pociągnąć. 3...2... Błysk! Ale to nie DrMSW. Nie mógł przewidzieć, że na lekcji ktoś zostanie w Poko... Centrum Dowodzenia i będzie miał przy sobie

działko plazmowe...

*Nim stał się częścią szkolnej atmosfery, zastanawiał się czy DrMSW też wyparuje i czy zdążył pociągnąć... Tego on już się nie dowie.*

\* autorowi chodziło o herbatkę "Nascle - Rose" firmy Rysion & Rysion

\*\* a właściwie to nie Ciocia Adela, tylko woźna X4i4

P.S. Drogi Czytelniku! Czy gdy czytałeś ten tekst, to śmiałeś się, czy...?

P.P.S. Dziękuję za inspirację i kilka pomysłów Agnieszce i Magdzie, cudownym dziewczynom z 3d oraz Rysiowi, bez poparcia którego ten artykuł nie wyszedłby poza ściśle prywatne kręgi.

**Groch**

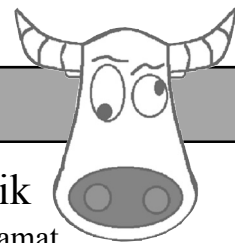
## Sens życia

Pożerające się wzajem wesołoskurcze ataków bezrozumnych rewolucji starły w proch naszą młodość, po czym nabiły tym prochem fajkę o kształcie trumny Wszechświata, gdyż jako z fluktuacji gluonowo-kwarkowych powstałeś, także weń się obrócisz, chyba, iż fizycy znów wymyślą jakąś nową hipotezę. Wszelako nie jest to istotne, bowiem nijakiego to wpływu nie miało i mieć nie mogło na rakiety rozbijające się w znużonym warkocie codziennych tramwajów wiozących betonowe figurki o płonących oczach do ich błyszczących orbit wieżowców - miejsc pracy, rakiety - nadmienić trzeba - balistyczne zazdrośnych spojrzeń wydzierających każdy centymetr wolnej trójwymiarowej przestrzeni kosztem miłości bliźniego swojego, chociaż w tych czasach nikt już jej nie trwonił nadaremnie. Takimi też zastały miasto obłoki późnosnu, które różowymi objęciami spowiły prawdziwe oczy w tarczy śmiechu, mimo czołgów wdzierających się na przedmieścia tylko po to by zmienić nazwę systemu przewożącego żelbetonowe już gesty powitalne i pożegnalne z gazet w odruchy, nawyki, gdzie, żywiąc się czasem tych co jeszcze żyli i życiem tych co jeszcze mieli czas, czekać na kolejne czołgi, realizując tymczasem milionowe nakłady gazet, chipsów i popkornu. Lecz nawet ci, którym studnie, zasilane z podziemnych rzek mieniących się cicho

regałami starych książek i spokojnymi wieczorami, nie wyschły, wciąż dając świeże lzy radości i smutku, czyszczące zmęczone źrenice z brudu czcionek drukarskich i młotów pneumatycznych telewizorów, nie mogli rozwijać skrzydeł tak jak niegdyś, bowiem ustawione wokół miastobetoniariek wielkie turbiny powietrza sztucznie wzbudzały prądy ludzi płynących znikąd donikąd wśród cieni uschniętych drapaczy chmur, pomiędzy którymi powstawały drobne zawirowania opadłych na zimę maklerów giełdowych, krążących wraz ze stadami niedopalanonych papierosów na obraz i podobieństwo smaganego wiatrem i deszczem pobojuwiska opustoszałego placu zabaw, gdzie już tylko zardzewiała huśtawka jakby w armagedonałnym tiku nerwowym bez końca powtarza swoje krrr krrr krrr. Niejako jednak dzień był blisko. Wprawdzie krył się jeszcze w zakamarkach rur wodociągowych, tylko w nocy ośmielając się wychylić, zazwyczaj by pogłaskać po główce jakieś śpiące dziecko, rzadziej by dać niebieskie niebo i bilet do jutra jakiejś parze kochającej bardziej kwiaty na łące, niż te z plastiku, kupowane zazwyczaj w hipermarketach, pomiędzy stoiskiem z czasopismami dla kobiet i mężczyzn, a rachunkami za mieszkanie, dzisiaj muszę, kochanie, zostać dłużej w pracy, kompletnie cię nie rozumiem, załatwmy ten rozwód szybko,

o jaka ładna sukienka... Ale co tam, nie było się czym przejmować - w końcu zawsze można było sobie zagrać z sędziwym gołębiem partyjkę szachów o losy Wszechświata. A tu bułeczka, marketing, galeria noworocznych spychaczy przyodzianych w purpurowe togi, zjazd dentyistów szczotkujących tylko lewą górną piątkę i tak dalej i dalej, chociaż powoli na zegarze dochodziła dwunasta i wszystko zmierzało do wielkiego finału. Oczywiście, wszystko się myliło, bowiem dwunasta wisiała na końcu sznurka zaczepionego na kiju zamocowanym na głowie wszystkiego, tak więc ruch do przodu był iluzorycznym, a ponieważ lustro, w którym widziało ono swe odbicie, trzymane przezeń w ręku poruszało się wraz z układem, to ten taniec z drutem kolczastym złudzeń w parze trwał nadal, śląc jedynie w kosmos drobne blaski próbnych wybuchów jądrowych, jak to zwykle z maczugami bywało, czynionych dla zachowania pokoju i propagacji miłości bliźniego na sześciu kontynentach. W każdym razie herbata wystygła - zawyrokował kot leniwie schodząc z drzewa i oddalając się jak zwykle w nieznanym kierunku. Na drzewie pozostała jedynie samotna tabliczka z napisem "Beware the Jabberwocky".

**Rysieq**



wyciśnięta z tubki  
bez krzty natchnienia

*dedykuje moim dawnym  
nauczycielom angielskiego (pozytywnie)  
oraz wszelkim TFU-rcom (negatywnie)*

I

Wzdłuż przydługich soczewek lamparcimi skokami płynęła sobie pobłażliwa soczewica. Nie dane jej jednak było zalegalizować swej lubieżnej taktyki, bowiem odchodzące już na emeryturę pijawki z lewostronnym układem kierowniczym zmniejszyły swą rozciąganą nad soczewicą opiekę do infityzermalnie małego kwanciku, ledwie wystarczającego na przysłowiowy wyciskacz do cytryn. Nie mogła więc biedna soczewica nabyć praw do infrastruktury kompleksu rekreacyjnego. Na to tylko czekała Organizacja Wyzwolenia Sałaty...

II

A był to, o brajdaszkowie moi, przepelniony bezguściem listopad, ryli horror szoł... Dżoł obudził się i ziewnął. "Co za obrzydliwy dzień". To była prawda. Wstał z łóżka wprost na swojego psa, czyniąc z niego mięsistą plamę. W tymże momencie usłyszał jakieś dziwne hałasy dochodzące z za jego pleców. Obrócił się i... ujrzał tam wielkiego zielonego potwora, który pożerał jego łóżko. "Dlaczego to robisz?" - spytał się go. "Blabląbla" - ten odpowiedział. Dżoł zrozumiał, że pozostało mu już tylko jedno wyjście z tej sytuacji - zabicie potwora. Wziął więc swoją piłę elektryczną i zrobił nieco mięsnych kostek dla szkoły (w której pracował jako nauczyciel matematyki). "To było kuól!" - powiedział Dżoł i wyszedł z Dworca Centralnego (był to jego dom). Dżoł uznał, że nadszedł tajm for sam reflexjas... "Mój dom ma obrzydliwe ściany. Muszę naprawić ten bład" - pomyślał i udał się do warzywniaka po odrobinę napalmu - "Jeśli nie będzie budynku, nie będzie też tych wstrętnych ścian." - logicznie uznał. Wszystko poszło jak po margarynie, ale, gdy już zniszczył cały dworzec, policjant z policjantką z psem policyjnym z koniem policyjnym z kotem policyjnym z wszą policyjną z pluskwą podsłuchową ujrzeli go i

poczęli go gonić. Biegli przez miasto, las, pole, objętość, aż wreszcie wbiegli do starego mrocznego zamku w drzwiach. I nagle stanęli wryci w ziemię 16-tonowym odważnikiem, zbyt przerażeni, by uczynić coś Dżołowi. Ujrzeli bowiem staromodnego szlamistego szklarza ze szklaną szklanką. Smarował on spizem kabaczka, lecz wszyscy i tak wiedzieli, że był radzieckim szpiegiem. Wyjął on więc swoje sznurowadło i zaczął polerować swój zabytkowy karabin, który oszczerczo oszpecał krajobraz. Lecz to nie był koniec. Wydostawszy się spod odważnika iście salmonellowym sposobem, przemalowawszy słowo "16 ton" na "16 dkg", wbiegli nasi atebohrowie na drugie piętro, gdzie ujrzeli kosz mar, deszczowiec, czyli tzw. hitler: w ossuarium kosztowna smuga zmierzwionych wnioskodawców kosiarkami kosiła korzenie kos. "Cały świat jest skorumpowany!" - zakrzyknął Dżoł i skorygował swój tor w okno, skąd też niezłe wypadł. Spadał, spadał, spadał i spadał... Aż w końcu rozbryzgał się szczęśliwie na cmentarzu... Wiele lat później, podczas pikniku na leśnej polanie, matka rzekła do córki: "Jak smakuje ci ten obsmarkany topór?"...

III

... "Ilość zębów jest odwrotnie proporcjonalna do częstotliwości uderzania w twarz pięścią" - odpowiedziała matce córka, z zawodu teoretyk zamieszek antyglobalistycznych. Była to jednak próba racjonalizacji ignorancji poprzez ignorancję racjonalizacji - ich rodzina rozpadała się z czasem połowicznego rozpadu równym pół roku. Zostały tylko one dwie i wiedziały, że lada chwila ("lada sklepowa jest co nie lada" - Sklepowa) stanie się To. Myliły się. Nie uwzględniły faktu, iż nad modrym asfaltem przeleciała lotem koszącym żaba bez uśmiechu. To wprowadziło dodatkowy relatywistyczny człon do równania Kleina-Gordona. Dżoł zmartwychwstał. Podśpiewując sobie utwór "Łan" zespołu Plasttica: "Dałeś mi panie zboża łan / Teraz jestem sam!" zabrał się do realizacji swych dziecinnych planów. Był to szkic jednoaktowego postmodernistycznego dramatu "Dziki dzik":

**Dziki Dzik**  
najstarszy dramat

Dżoła Bsena  
(na podstawie  
"creatio ex koprofilo"  
Sedesa z Bakielitu)

**PROLOG**

**CHORUS:**

Szprycujmy, o mili bracia  
Denaturatem pomidory zielone  
Bowień wtedy, o siostry drogie  
Staną się one czerwone

**MASTA OF CEREMONY:**

Erste broś' eye'm  
na genom pomidora,  
cywilizacja nasza chora,  
konsumuje wciąż więcej i więcej,  
upodabniając się tym do węża,  
swoją ogon pożerającego.  
Lecz wąż kiedyś zadławi się  
ogonem swym...

**MASTA OF CEMETERY:**

Ja wtedy będę ręce zacierał swe,  
a Matka Ziemia w łono swe  
znów przyjmie dzieci swe.

**AUTOR:**

7.4.1943 Albert Hoffman zsyntetyzował LSD. Ja urodziłem się w jedną z rocznic tego wydarzenia. Faktycznie nie w tym interesującego. Tak jak i w tym, co przedstawia sobą gatunek sam przez siebie nazwany podwójnie myślącym. Czasem słyszy się, że ludzkość toczy rak. Ale przecież nowotwór to nic innego jak niekontrolowane namnażanie się komórek. Od LSD giną komórki nerwowe, kto więc przyjmuje LSD, nie będzie miał raka mózgu. To pocieszające.

**AKT I**

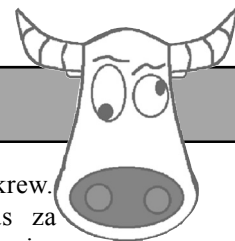
**DR HAB. ZIÓTEX:** Dzień dobry, oto moje CV, PIN, NIP, SMS, TEL, FAX i MAIL

**MR. BOSS:** Jó hef ferry inderezdink kfalifikejszons... Łot iz diz: "filozofia"?

**DR HAB. ZIÓTEX:** A, to nauka o laniu wody, coś w stylu hydrauliki słów.

**MR. BOSS:** Oł, aj anderstend. Łot tajp of mjuzyk du ju pryfer?

**DR HAB. ZIÓTEX:** Dizko poloł we're hüiring!, nawiasem kwadratowym mówiąc.



- 1 -

## *l'existence*

Upił resztkę wina. Wyszedł. Nigdy nie wiedział dokąd zaprowadzą go te nocne wędrówki. Czasem był to klasztor, czasem jakaś leśna polana skryta wśród szponów drzew. Zawsze jednak był ten wydobywający się z wnętrza czaszki zew - coś jakby pieśń nieskończenie smutna, wiejąca grozą nieuniknionego, a zarazem potwornego zakończenia.

Dniem wycieńczony funkcjonował na granicy nieprzytomności, śnił na jawie fragmenty poprzednich nocy - dni właściwych. To one z coraz większą drapieżnością i bezwzględnością pożerały jego osobę. Czuł, iż przestaje być nawet obserwatorem tego co się z nim działo - jego tożsamość w obliczu nocy zanikała. Wraz z nią rozsypywało się jego życie - przestał przychodzić do pracy, a kontakty z innymi ludźmi, surrealistycznie wykrzywione w falującym stanie półświadomości, zredukowały się wnet do widoku osoby barmana, bez słów i cienia zainteresowania napełniającego kolejne kieliszki wina.

Tak też było dzisiaj - zbudziwszy się (a właściwie półzbudziwszy - trudno oddać słowami ten stan, kiedy człowiek przechodzi z nieistnienia w istnienie w stop-

niu ułamkowym) na łóżku dostrzegł, iż leży w ubraniu i ubłoconych butach. Następną rzeczą jaką zarejestrował było już wnętrze tej knajpy, w której przevegetował resztę dnia, fluktuując gdzieś pomiędzy smakiem ciemnego kąta, latami nie mytych stołów, a obrazem taniego wina. A może to było inaczej? - nie ważne, zapomniał.

W pewnej chwili poczuł to. Jakieś niewyraźne ukłucie. Smutek? - nie, coś jakby zarodek strachu, zmaczenie stanu prawie beztrwania - chociaż nic się wokół niego nie zmieniło. Nic? A jednak. Zaszło słońce. Powoli stawała się noc, a wraz z nią narastający szept, przyswajający każdy skrawek mocy oddawanej przez ustępującą szarość agonii dnia. Jego niepokój rósł w zatrważającym tempie, przerywając w pewnej chwili łańcuchy, którymi skuta była jego świadomość. Znowu myślał! Znowu czuł! Znowu istniał! *Gdzie jestem? Co robię? - Ach, tak! Pamiętam!... Och... Nieee!...*

Ten okrzyk był jego ostatnim świadomym czynem. Zrozumiał, wiedział - ale było już za późno. Zew, bezwzględny oprawca świadomości, przejął nad nim kontrolę. Nie myślał, nie czuł, nie istniał. Upił resztkę wina. Wyszedł.

Tej nocy szedł długo, dłużej niż kiedykolwiek. Szept natarczywie pchał go przed siebie - tam. Gdzie? Tam. Po prostu. Zawsze było jakieś tam. Później (lecz nie tak bardzo, zresztą czy można mówić o zegarze w monotonii bezczasu?) nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zaczął iść na czworakach. Potem już tylko pełzał...

Nad ranem na peryferiach metropolii znaleziono martwego człowieka. Z braku danych śledztwo umorzono.

- 2 -

## *la destination*

A więc nastał czas. Będziemy dziś włóczyć się po spelunach, po pustych nadbrzeżach, taplać się w błocie, upadlać na każdym rogu. Dziś każdy zaułek stanie się świątynią rozpusty, każdy łyk wina heretycznym aktem naszej mszy w świątyni grzechu. Dziś rozpalamy płomień pożądań i zagotujemy w

nich naszą krew. Sprzedamy czas za rozkosz, życie za niemoc.

A więc chodźcie, wypełnijmy z mroków rur kanalizacyjnych, studzienek, cieni latarń. Ukażmy swą siłę, ukażmy swoje prawdziwe oblicze. Zerwijmy ściany, baldachimy, zasłony kłamliwych oczu. To nasz czas!

A więc weźcie ze sobą robactwo, weźcie choroby, śmierć, weźcie też rozkładające się zwłoki, kał. Wywlecemy je na powierzchnię, z nich i z waszych rozpadniętych twarzy, zrujnowanych gestów, obumarłych słów tworząc dekorację dla naszego tańca zmysłów, bezbożnej ekstazy wrażeń. I już na zawsze będziemy tak pulsować zjednoczeni ze światem.

Aż ktoś stłucze lustro.

- 3 -

## *l'amour*

W szeleście liści opadających z drzew, gołębih piór, przewracanych kartek opowiadań stałaś się. A przedtem Ciebie nie było. Może jest to stwierdzeniem trywialnym, choć... Twoje narodziny zbiegły się z nastaniem dnia, dnia który nie miał się zakończyć (a przynajmniej tak o nim zdawałaś się mówić). I byłaś. A Twoje słowa, zarówno te wypowiedziane, jak i te które były rozumiane w ich bezdźwięcznym brzmieniu, rozświetliły ulice, parki mieniące się ptasią obecnością, no i oczywiście ten kieliszek wina, ożywiony Tobą.

Obudzony Twoim światłem (a może światłem dnia, zresztą te na początku różne jasności wnet zlały się w jeden nierozróżnialny strumień) patrzył on w Ciebie, słuchał, czuł i - nie potrafiąc uczynić więcej - radośnie rzucał refleksy dookoła, tworząc abstrakcyjny kolaż promieni na drewnianej posadzce.

Twoje słońce oświetliło wielu. Niektórzy z nich też podnieśli ręce w górę, by czerpać życiodajne uśmiechy, inni zdezorientowani krążyli po zaułkach próbując dojść o co chodzi, jeszcze inni zaś (tych było najwięcej) nie dostrzegli Ciebie w ogóle i dalej kroczyli w pasmach cienia rzucanych przez uschnięte drzewa.

Lecz to nie ważne, bo Ty przecież byłaś. I...

[pod wpływem Zuzi, Cortázarą, Ryby i Viana]  
[21-22-23.IX.2001]

**Rysieq**

MR. BOSS: Ołkej, ju hef dys dżob, aj em gled tu hef ju es nju "sprzątaczką". Be tumoroł et fajf aj em.

DR HAB. ZIÓTEX: Ołkej.

## EPILOG

### CHORUS:

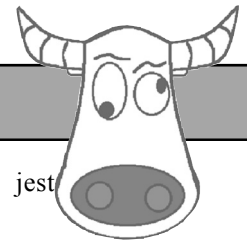
A tak w ramach wyjaśnienia,  
Moi mili towarzysze niedoli,  
Powiem wam o co chodziło  
W całym tym słów bałaganie:

Zbyt dużo jest rzeczy  
Siebie samych uważających za ambitne,  
Zbyt wiele ich -  
A ta pisanina moja nabijaniem się z nich.

Staram się tu płynąć na fali  
Jakichś wolnych skojarzeń  
I drwić, drwić, drwić!  
Aż do zbelkocenia.

FIN.

**Rysieq**



# Traktat analityczno-logiczny

moim Mistrzom

Słowo “filozofia” pochodzi od greckiego “lubię mądrość”. Wraz z upływem czasu filozofia stała się sztuką zapętlenia we własnych (najczęściej mętnych i niespójnych nawet wewnątrznie) konstrukcjach myślowych. Nieliczni filozofowie mający coś rzeczowego i istotnego do powiedzenia o świecie utonęli w zalewie generowanego masowo bełkotu, przy wydatnym współdziałaniu postmodernistycznego relatywizmu, zrównującego bzdurę z mądrością w sposób jak najbardziej politycznie poprawny i demokratyczny. Celem tej pracy jest stworzenie z wielu rozważań różnych autorów (między innymi Lema, Wittgensteina, Russella i oczywiście własnych) jednego jednoznacznego, zarówno wewnątrznie jak i zewnątrznie, ekstraktu i gruntu do syntezy opisującej wszystkie najistotniejsze kwestie ontologiczne.

1. Jedynym niezaprzeczalnym faktem jest własne myślenie i czucie, a one implikują istnienie. Reszta to nieudowalniająca hipoteza. W szczególności nie można być pewnym tego, że tok własnego myślenia i czucia nie jest przez coś (co?) z zewnątrz (skąd?) zdeterminowany.

2. Nie da się dowieść, że istnieje obiektywna rzeczywistość.

3. Świadomość jest dana tylko introspektywnie. Nie jest możliwym udowodnienie posiadania świadomości przez kogokolwiek poza sobą samym. Wobec tego nie należy stosować pojęcia “świadomość”, ale “samoświadomość”.

4. Jeżeli na wstępie do jakiegoś systemu powie się, że nie jest on bezwzględnie podporządkowany logice, to cokolwiek by dalej nie zostało napisane, będzie w zgodzie ze wstępem. W związku z tym niedorzecznością jest zajmowanie się logiczną analizą niektórych popularnych wierzeń.

5. W szczególności sama logika też jest systemem, który można przyjąć, albo nie.

6. Dysponujemy skończoną liczbą obserwacji świata. Do dowolnego skończonego zbioru punktów można idealnie dopasować nieskończenie wiele

różnych krzywych. Celem fizyki jest znalezienie jak najprostszej krzywej opisującej te punkty, którymi dysponujemy. Nigdy jednak nie będzie można mieć pewności, że krzywa ta opisuje całkowicie prawa rządzące rzeczywistością, a w ogólności, że jakiegokolwiek ogólne prawo opisujące rzeczywistość istnieje. Prawdziwości twierdzeń ogólnych w naukach przyrodniczych nie da się dowieść

7. W szczególności nie da się dowieść, iż nie istnieje wszechmocna istota samoświadoma. Ateizm jest więc, w odróżnieniu od nie potrzebującego żadnych założeń agnostycyzmu, wierzeniem.

8. Prostota może być pojęciem czysto ludzkim. Na przykład dodawanie oraz modulo są jako operacje na grupach zupełnie równouprawnione.

9. Niektórzy sądzą, że głównym założeniem nauk przyrodniczych jest to, iż istnieją ogólne prawa opisujące rzeczywistość. Nauki przyrodnicze mogą równie dobrze funkcjonować bez tego założenia. Jeżeli się jednak je przyjmuje, to wtedy nauki przyrodnicze stają się wierzeniem, bo posiadają niezerowy zbiór aksjomatów. Jednak wymagają same od siebie ścisłego przestrzegania logiki. To je różni od wielu innych wierzeń. Na gruncie tego przyjętego założenia z fizyki powinny być wyprowadzalne wszystkie pozostałe nauki przyrodnicze.

10. Pytanie o cel życia człowieka jest pytaniem niedorzecznym. Życie człowieka jest wynikiem procesu ewolucyjnego. Natomiast “pytanie o cel” można postawić jedynie wobec działań podjętych przez jakąś istotę samoświadomą. (Jest to warunek konieczny, ale nie wystarczający - słowo “cel” ma sens tylko wtedy, gdy u tej istoty istnieje również “motywacja”).

11. Śmierć nie jest zdarzeniem w życiu. Śmierci się nie doznaje. Jeżeli przez wieczność rozumieć beczasowość, to ten żyje wiecznie, kto żyje terazniejszością.

12. Upływ czasu jest określony przez porównanie jednego procesu z innym.

13. Wielkość jest kwestią skali.

14. Wobec czegoś odbieranego przez człowieka jako wielkie, czegoś, czego nie może zrozumieć, tajemnicę jest psychologicznie łatwiej zaakceptować niż bzdurę.

15. Rzeczywistość, o ile istnieje, jest zbiorem stanów rzeczy. To człowiek nadaje im na swój własny użytek charakterystykę emocjonalną.

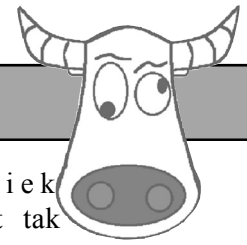
16. Piękno jest pojęciem subiektywnym.

17. Język ogranicza myśl, a doznania zmysłowe wyobraźnię.

18. Możliwości rozumu ludzkiego są ograniczone przez jego wynikłą z ewolucji konstrukcję biologiczną. Rozum w znanej nam postaci jest produktem ubocznym procesu transmisji w czasie kodu genetycznego. Przynajmniej tak zdaje się wynikać z dotychczasowych ustaleń nauk przyrodniczych. Natomiast w ogólności nie została udowodniona teza, iż nie da się uzyskać Rozumu w postaci pozabiologicznej.

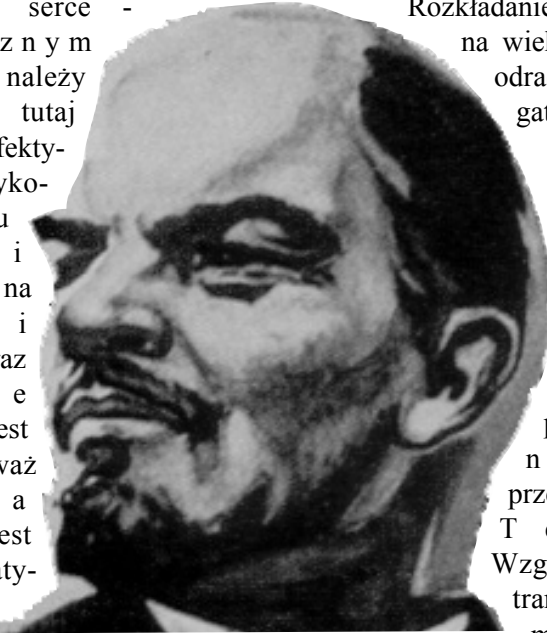
19. Zgodne ze stanem dzisiejszej wiedzy jest twierdzenie, iż ewolucja jest procesem polegającym na przypadkowym powielaniu przypadkowo powstałych błędów w kodzie genetycznym. Eliminowane są jedynie błędy powodujące wykroczenie organizmu z przedziału minimalnego przystosowania, czyli, mówiąc krótko, śmiertelności. Nie jest to jednak proces globalnie optymalizujący. Przykładowo: gdyby organizmy jednokomórkowe były istotnie mniej przystosowane od wielokomórkowych, to by wymarły. Tak się jednak nie stało. Dzieje się wręcz na odwrót - organizmy budowane na podstawie kodu pierwotnego są bardziej doskonałe od tych organizmów budowanych na podstawie kodu zmutowanego, które przetrwały selekcję ewolucyjną. Przykładowo: pierwotne organizmy potrafiły przyjmować energię w czystej postaci (fotony) poprzez fotosyntezę, były zdolne do regeneracji nawet po zniszczeniu dużej części ciała, a także były odporne na zmiany warunków fizycznych w bardzo szerokim zakresie, zaś organizmy ewolucyjnie znacznie





# Traktat analityczno-logiczny

późniejsze (np. człowiek) to mechanizmy funkcjonujące nie na poziomie kwantowym, lecz na znacznie mniej doskonałym poziomie chemicznym, czy wręcz - kości, stawy, serce - mechanicznym (doskonałość należy rozumieć tutaj zarówno jako efektywność w wyko-rzystaniu energii, jak i odporność na warunki zewnętrzne, oraz z użycie wewnętrzne). Jest tak, ponieważ selekcja ewolucyjna jest selekcją negatywną, a nie selekcją pozytywną (mówiąc nieściśle: eliminowane są tylko osobniki "najgorsze", a nie wszystkie prócz "najlepszych").



20. Każda innowacja technologiczna jest z natury niejednoznaczna: nie da się wykazać niemożliwości zastosowania jej przeciwko człowiekowi. Mówienie o apriorycznej "dobroci" postępu technologicznego jest nedorzecznnością.

21. Nie można dowieść tego, że jakiś system społeczny zapewni ludziom szczęście, dopóki zjawisko szczęścia/szczęśliwości nie będzie zbadane. To samo się tyczy nieszczęścia.

22. Ludzka psychika nie rządzi się bezwzględną logiką.

23. Udoskonalanie genetyczne gatunku jest nedorzeczne. Zamiana jednego genu na inny nie przekształca dziecka w istotę obcego gatunku, ale nie można stwierdzić po ilu zmianach będzie to nowy gatunek. Usprawnienie każdej z cech

człowieka osobno wydaje się być działaniem niegroźnym, jednakowoż szereg zmian doprowadzi do powstania innych istot, w granicy równie bliskich człowiekowi jak traktor. Rozkładanie tego procesu na wieki jest jedynie odraczaniem końca gatunku.

24. Jeżeli nie istnieje możliwość ominięcia barier czasowo-przestrzennych nałożonych przez Szczególną Teorię Względności na transmisję informacji, to próby

intelektualnego kontaktu z cywilizacjami pozaziemskimi (o ile one istnieją) są nedorzecznnością. Człowiekowi zależy na odpowiedziach na pytania, które, będąc na określonym progu rozwoju cywilizacyjnego, aktualnie stawia. Zanim odpowiedzi by doszły, pytania byłyby nieaktualne. A przyszłych pytań nie znamy, ale nawet gdybyśmy je znali, to byśmy nie zrozumieli odpowiedzi, bo gdybyśmy mogli je zrozumieć, to równie dobrze moglibyśmy sami do nich dojść. Zresztą błędne jest założenie, że ktokolwiek chciałby się z nami skontaktować, tak jak nam by nie zależało na kontakcie z pitekantropami. Ogólniej: kwestia kontaktu może dla przedstawicieli *extraterrestrial intelligence* po prostu nie istnieć. Błędem jest istotom żywym obdarzonym inteligencją przypisywanie jakichkolwiek innych ludzkich cech, w tym zwłaszcza emocji.

25. To, że na Ziemi w wyniku ewolucji biologicznej u niektórych zwierząt wykształcił się rozum spleciony z emocjami nie znaczy tego, że

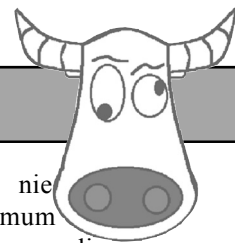
gdziekolwiek indziej akurat tak musiało zajść.

26. *Homo sapiens sapiens* jest gatunkiem pochodzenia ziemskiego. Cały jego organizm jest przystosowany do specyfiki tej planety. Nedorzecznnością jest więc mówienie o kolonizacji innych planet w ramach naszego gatunku.

27. Socjologiczne zjawisko "rodu" nie jest zjawiskiem wynikającym z konieczności biologicznej. Nasz gatunek istnieje najprawdopodobniej 2 miliony lat, a koncepcja rodu liczy maksymalnie 300-400 lat. Przez 90% czasu trwania naszego gatunku ludzie żyli w stadach maksymalnie 150-osobowych, a ponieważ psychika człowieka nie zmieniła się praktycznie od czasu paleolitu, należy podejrzewać, że stan ten jest dla psychiki przedstawicieli *homo sapiens sapiens* optymalny (chodzi tu o poczucie więzi emocjonalnych, a nie o fizyczne bliskość, czy oddalenie). Przy czym należy odnotować, iż przy aktualnym stanie rozwoju technologicznego człowieka (jako gatunku), zarówno z punktu widzenia przetrwania gatunku jak i osobniczych korzyści jednostki istnienie narodów jest całkowicie zbędne.

28. Nedorzecznym jest to, że we współczesnym społeczeństwie nie można zbudować mostu, wyleczyć choroby, dokonać prostej czynności administracyjnej bez określonego wykształcenia, lecz rzecz najważniejsza z punktu widzenia całego gatunku: rodzenie dzieci i kształtowanie ich psychiki oddana jest na los ślepego przypadku i chwilowego pożądania, a zbiorowość ingeruje w proces ten dopiero wówczas, gdy na naprawę popełnionych błędów jest za późno.

Rysiek



moim Przyjaciółom

Wychylają się twoje oczka z całeczek i myślisz, czas to, czy jeszcze nie czas, by wziąć się w garść, zagotować herbatę i zaprosić kilkoro przyjaciół na wspólne cokolwiek. I tak sobie ze zdumieniem spoglądasz to tu, to tam, w stare notatki, w książki na półce, piszesz wiersze, piosenki, fragmenty rozpraw bez wstępów i zakończeń, a czas płynie. Czas - czyli życie. Ale nic w tym smutnego.

Doszedłeś już dawno do tego, że każde życie, w tym twoje, jest trwaniem znikąd donikąd. I że twoje uczucia i myśli, ich podobieństwa i różnice, są wynikiem przypadkowych ruchów w zakresie wyznaczonym przez równie przypadkowe uwarunkowania nałożone na wyjściowe, charakterystyczne dla gatunku *homo sapiens sapiens*, skłonności. Ciebie świat uwarunkował tak, iż chciałeś wykroczyć poza proste uwarunkowania, powielanie prostych (banalnych, trywialnych - jak nieraz, może zbyt ostro, mówiłeś) schematów, charakterystycznych dla większości populacji. No i były z tego konfliktiki małe i duże, ze sobą samym i z otoczeniem, oj były. No i okazało się, że nie można wykroczyć z obszaru niewykraczalnego - bycie człowiekiem narzuca na rozwiązania równania "życie" bardzo duże ograniczenia, nie tylko tego, że w ogóle trzeba czuć i myśleć, ale też tego jak (i jak nie). Skomplikowane staje się życie, gdy chce się żyć jak najlepiej i jak najmądrzej, a do tego ma się wysublimowane gusta, nie jest się idiotą i nie jest się wyzutym z emocji. Trudno było ci się pogodzić z faktem, że przy takich warunkach początkowych niektóre problemy nie mają optymalnych rozwiązań, a jedynie minimalnie złe. I jakoś zawsze łatwiej było to przyjąć do wiadomości trzymając kogoś bliskiego za rękę - wiadomo...

Ale tak już jest i elementarna higiena psychiczna wymaga godzenia się ze

smutnymi rzeczami na które nie ma się wpływu. Wtedy wypicie ciepłej herbatki zimowym wieczorem potrafi dać szczęście. A przecież to o nie właśnie chodzi. Przynajmniej do takiego wniosku doszedłeś obserwując siebie i inne istotki z twojego gatunku - wszystkie one wykazywały dodatni szczęściotropizm. Wszystkie, chociaż czasem, w poszczególnych przypadkach, trudno to było udowodnić, głównie ze względu na wielowymiarowość człowieka, metod jakimi dochodzi on do szczęścia, no i wspomnianej już przypadkowości uwarunkowań, zdarzeń i zachowań.

Wolisz jednak nie mówić o tym, jaki powinien być system społeczny, bowiem nie wiesz względem czego należałoby optymalizować - nie widzisz obiektywnych idei, a najbardziej obiektywny z czynników - szczęśliwość - jest też niepewny, bo nie wiesz, jaki naprawdę jest człowiek. Uważasz jednak, że na pewno nie można być wobec innych ludzi destruktywnym i w ten właśnie sposób starasz się zachowywać i też pod tym kątem patrzysz na zachowania innych. Oczywiście - zdajesz sobie sprawę z niedoskonałości ludzkiej i próbujesz na to brać poprawki, chociaż czasem dobre rozwiązania, właśnie poprzez tę niedoskonałość (którą jednak akceptujesz jako warunek początkowy), są tylko najmniej złymi. Czasem zaś ułomność po prostu góruje nad tobą i wtedy osuwasz się w banał emocjonalny i myślowy. Chcesz jednak, aby takich chwil było jak najmniej, więc w miarę możliwości pracujesz nad tym.

Doszedłeś też do wniosku, że dla niektórych ludzi (może dla tych wewnętrznie bogatszych, a może, po prostu, dla nie wyjąłowanych (a więc wyjściowo dla wszystkich)? - nie jesteś pewien) życie oparte na realizacji schematów społecznych i prowadzeniu codziennych gier i rozrywek psychologicznych, oraz zaspokajaniu potrzeb

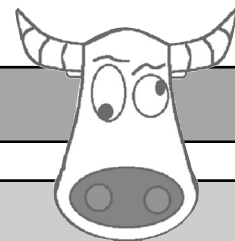
biologicznych nie daje maksimum szczęśliwości jaką mogliby oni osiągnąć. I wydaje ci się, że droga dla nich wiedzie poprzez osiągnięcie autonomii, czyli trzech zdolności: świadomości, spontaniczności, oraz intymności. (Autonomię tę mógłbyś nazwać wolnością, wolisz tego jednak nie robić, bo słowo "wolność" jest tak zszargane i ma tyle znaczeń i konotacji, że wprowadzenie go wniosłoby jedynie niepotrzebne zamieszanie).

*Świadomość oznacza zdolność widzenia ekspresu do kawy i słyszenia głosu ptaków na własny sposób, a nie tak jak nas nauczono. Można zasadnie przyjąć, że niemowlęta słyszą i widzą inaczej niż dorośli i że ludzie w pierwszych latach życia kierują się bardziej poczuciem piękna niż intelektem. (...) Człowiek świadomy jest żywy, ponieważ wie, jak czuje, wie, gdzie jest i co się dzieje w danej chwili. Wie, że po jego śmierci drzewa rosnąć będą nadal, lecz jego już nie będzie i już ich nie zobaczy. Dlatego teraz chce je widzieć najintensywniej jak potrafi. (...) Spontaniczność oznacza wybór, wolność wyboru i wyrażania własnych uczuć z dostępnego ich asortymentu (...). Oznacza wyzwolenie od przymusu grania i odczuwania tego tylko, czego człowieka odczuwać nauczono. (...) Intymność to spontaniczna, wolna od gier otwartość osoby świadomej, osiągnięcie ejdetycznej percepcji nieskażonego Dziecka w całej jego naiwności żyjącego tu i teraz. - przeczytałeś u Erica Berne'a i tak właśnie na to patrzysz.*

Wydaje ci się też, że na dłuższą metę nie możesz żyć sam. Podejrzewasz, że jest tak też z większością ludzi. I sądzisz wobec tego, że spędzenie pozostałego ci na tej planecie czasu z kimś, z kim mógłbyś żyć w pełni odwzajemnionej świadomości, spontaniczności i intymności, da ci poczucie pełni życia i szczęścia (nie chcesz jednak głośno wypowiadać słowo "miłość", bowiem ono również...). Pewnie się nie mylisz.

Napij się jeszcze herbatki, jutro będzie ładny dzień.

[3.1.2002]  
Rysiek



Obudził się rano w swojej rodzinnej równinnej wiosce. Był wśród zwykłych ludzi. Żyli oni zwyczajnie, raz radośniej, raz smutniej. Czasem było im ciężko - gdy lato wypalało pola suszą, czasem łżej - gdy plony wyrastały szczególnie dorodne. Mieszkańcy nie wiedzieli dlaczego tak się dzieje, lecz radzili sobie. Żyli. A on tak samo jak oni - żył wraz z nimi. Pewnego dnia coś zaczęło go ciągnąć w stronę gór. Czasem, choć rzadko, bywało tak, że ludzie odchodzili z wioski. Nikt nie wiedział dlaczego. Tak po prostu bywało. I nadszedł dzień, w którym i on odszedł. Szedł w stronę najwyższego - jak mu się zdawało - pasma. Dlaczego? Sam nie wiedział. Coś go ciągnęło...

Po drodze spotkał Przyjaciela. I Przyjaciel poszedł z nim. I wchodzili pod górę, widząc z góry coraz większe i większe widoki. I wchodzili dalej. Jednak im wyżej wchodzili, tym było im ciężiej, więc wyrzucił on z torby podróźnej rzeczy które wziął z wioski. I szli dalej. Lecz nastąpiła taka chwila, w której Przyjaciel powiedział, że nie ma siły iść dalej. I opuścił on Przyjaciela, bo siła która go ciągnęła w górę miała większą moc. Wszedł więc on coraz wyżej i wyżej, a spoglądając w dół widział wciąż więcej i więcej, a rzeczy na równinach wydawały się coraz mniejsze i mniejsze. I im więcej widział, tym bardziej chciał wejść jeszcze wyżej.

Aż pewnego dnia dostał się na sam szczyt. Spojrzał wtedy w dół i zachwyił się widokiem, bo widział wszystko, co działo się na ziemi, choć każda z widzianych rzeczy wydawała się być znaczącą mniej niż ziarnko piasku. Popatrzył na wioskę, z której kiedyś

wyruszył, i zobaczył, jak była ona mała w porównaniu z ogromem świata. "A przecież kiedyś była ona całym moim światem" - pomyślał. Spojrzał na miejsce w którym się znajdował. A był to pozbawiony jakiegokolwiek życia skalny szczyt, po pustce którego wiał zimny wiatr. On jednak stłumił niepokój: "Po tylu trudach dotarłem. Widzę stąd wszystko. Zamieszkać tu". Jak pomyślał tak uczynił. Jednak wraz z upływem dni coraz bardziej doskwierała mu samotność. "Cóż z tego, że mam tu jak na dłoni cały świat?... Martwota tego pustkowiata przeraża mnie" - coraz częściej myślał.

I nastał dzień w którym porzucił on martwy szczyt i zszedł do przełęczy położonej niżej. Z przełęczy tej nie widział już wszystkiego co się dzieje na ziemi, chociaż nadal widział wiele. Lecz za to rosły tam rośliny, a nawet kwitły kwiaty. Z miejsca tego martwy szczyt było jednak widać. Można było się na niego wspiąć. Ale on jednak nigdy już tego nie uczynił. Zamieszkał w przełęczy. Było z niej też widać jego rodzinną wioskę. Była ona większa od ziarenka piasku, można było nawet dostrzec bawiące się dzieci. Z czasem koło jego domu zdarzało się przechodzić różnym wędrowcom. Kilku z nich zostało. Odnalazł też Przyjaciela. I byli szczęśliwi.

Rysieq

## Aciteop sra

dla Z.P

*Pożerające próżnię erytrocyty zawyły lubieżnie  
Ujrzawszy niedomytej duszy kwant  
Z otchłani jej dobiegały demoniczne westchnienia  
Tak jakby umierał ostatni z żywych ptak*

*W drogę udały się forpoczty króla piekiel  
Do najbliższego baru - po chleb i sól  
Tam czyhały już ostrząc kły alefy  
I continuum z rozprutym brzuchem na wpół*

*Gdzieś dopalały się ruiny wiosek  
Bez ciała mózgi roily słów toń  
Wersety wierszy weź wesół esteto  
Mnie zaś uchowaj od kopyt of koń*

*Z piątej strony świata usłyszałem jęki  
A to tylko charczał językoznawców tłum  
Multum sum ergo non demonstrandum  
Ecce homo, ręczę żono, nie tworzę mów tu*

*Kiedy popuściłem już spluczki wyobraźni  
I ostatnia tama zerwana - sens precz  
Ja tworzę wolnością siedmioskrydły albatros  
To gen mutacja kolacja sen piach śnieg pierz*

*Ókżyżofanie za niezrozumienie  
Oto najbardziej popularna z kar  
Czemu by nie spać dziś na styropianie -  
Czy pod gazetami nie mógł spać Ikar?*

*Konwenanse, koncesje, kulturalnie i wsio:  
Żyją sobie szaraczki w miłych klatkach - hej ho!  
Ja tam wołę surreal - stratocumulus prześlizny,  
Niechaj czas da mi miłość i kolaps relatywistyczny!*

(4.IX.2001)

[tytuł tego wiersza nie jest przypadkowy]

Rysieq

## Mechanizm

*dedykowane Pawłowi Findeisenowi*

Porwany szalem analitycznego rozkładania wszystkiego co żywe i co martwe, nie rozróżniając pomiędzy jednym a drugim, ciął rzeczywistość słowami na słowa, kunsztem swoim zadziwiając wszystkich. Cokolwiek wpadało w jego tryby, czy były to żelbetonowe bloki, czy skaczące radośnie króliki, siekał w plasty i ugniatał zgodnie z wymogami

Instrukcji. I wszystko funkcjonowało prawidłowo.

Prawie. Od czasu do czasu z trybów skapywała nieprzewidziana w Instrukcji łąza - zarodek korozji. Przeprowadzona zgodnie z Instrukcją analiza Mechanizmu nie była w stanie wykryć przyczyny tego zjawiska.

Zauważył, że króliki też czasem płakały, a żelbeton nie.

Znacznie później odpadło mu, przeżarte korozją, jedno z ramion.

A potem wyszedł z niego królik - ja, królik, nareszcie wyszedłem z tej sztucznej skorupy! Uff....

Idę poskakać sobie na łące, na szczęście jest jeszcze ranek.

[11.02.2002]

Rysieq

E21°01'00" N52°13'15" jest chyba jej jedyną możliwą obiektywną definicją. A dalej rozpościera się gąszcz subiektywizmu - począwszy od tego, jakie są cele tzw. "szkoły"\*, poprzez to, co w imię tych celów można robić, to, co się rzeczywiście robi, aż do tego jak to wychodzi i - ostatecznie - co o tym sądzą wszyscy zainteresowani. Trudno, o ile nie niemożliwe, schodząc w dół tej drabiny, zachować obiektywizm, a więc nie być narażonym na zarzuty. Cóż... Bywa. Ale właściwie kogo to obchodzi? - Podejrzewam, że te moje dywagacje o metodzie i niemożliwości zachowania obiektywności mało kogo interesują. Więc do rzeczy.

Chciałem napisać tekst oddający moje odczucia i jakieś tam skrawki myśli dotyczące Hoffmanowej. No i napisałem. Tyle, że po krytycznym nań spojrzeniu (dzięki, Grochu), okazało się, że nie zawarłem w nim wszystkich moich uczuć, a tylko ich ciemną stronę, o tej jasnej jedynie, zbyt słabo, nadmienając. Wobec tego przyszło mi jeszcze raz zasiąść do klawiatury i postarać się o większą - ha, właśnie! - obiektywność. Czuję, że to zadanie mnie trochę przerasta. Ale postaram się.

## Konkret

1. Celem szkoły powinien być rozwój uczniów.\*

2. Rozwój to rozwój emocjonalny i rozwój intelektualny.

3. Rozwój intelektualny bez rozwoju emocjonalnego prowadzi donikąd - służyć wieloma przykładami ludzi, którzy są śmieciami, a są inteligentni, czy też posiadają dużą wiedzę.

4. Rozwój emocjonalny bez rozwoju intelektualnego jest w ogólności dla człowieka wystarczający do tego, aby żyć pełnią życia i szczęśliwie, ale w społeczeństwie, w którym żyjemy, nie jest wystarczający - trzeba jakoś zarobić na życie, etc. - wiemy, o jakie z tych bzdur chodzi.

5. Celem szkoły powinien być więc przede wszystkim rozwój emocjonalny uczniów połączony z ich rozwojem intelektualnym, aczkolwiek ten pierwszy powinien być silnie zaakcentowany.

6. W szkołach prawie w ogóle nikt nie zajmuje się rozwojem emocjonalnym uczniów, a wręcz przeciwnie - powszechnym jest automatyzm i popieranie postaw konformistycznych (co jest ściśle powiązane ze schematyzmem emocjonalnym), w ogóle w szkołach (zwł. podstawowych i zawodówkach) jest pełno nerwicy. Co do rozwoju intelektualnego - to z nim kiepsko, dlatego, że zazwyczaj uczenie polega na transferze szablonów i schematów oraz niepotrzebnej nikomu toni informacji od nauczycieli do uczniów, przy szybkim wyrzucaniu tego wszystkiego przez uczniów do kosza. Oczywiście (niestety, nie dla wszystkich) jest, że przy braku zaangażowania emocjonalnego, albo (co najmniej) niechęci do czegoś, będzie się to robiło tylko z powodu przymusu, w różny sposób odraęgując frustrację - w eskalacji niechęci, w apatii, w działaniach stricte destrukcyjnych czy to na zewnątrz (szeroko rozumiane chuligaństwo, czy cokolwiek - wiemy o co chodzi (bazgroły w ubikacji to ta sama bajka, kochani, nie oszukujmy się...)), czy to do wewnątrz (stany depresyjne, w granicy: samobójstwa). Niestety, najczęściej nauczyciele powielają bezmyślnie schematy zachowań, a uczniowie, no cóż... dostosowują się do tego (świadomie, bądź nie), przez co cały system funkcjonuje na pozór sprawnie i cała ta maszyna, na wskroś przeżarta automatyzmem, bezmyślnością i nerwicą, brnie dalej w tym bagnie złudzeń.

7. W Hoffmanowej jest większa możliwość rozwoju emocjonalnego (oraz intelektualnego), niż w statystycznym polskim liceum. To co napisałem w poprzednim punkcie jest tu mniej silne, niż gdzie indziej, ale też występuje.

8. To, że tak tu jest, nie wynika z położenia budynku szkoły, nie wynika z jej nazwy, ale z tego, co statystycznie rzecz biorąc przedstawiają sobą nauczyciele, oraz uczniowie, a także z tego, jakie "zasady" określają ich zachowanie.

9. Zasady współzycia (prawie całkowicie niepisane, a po części nawet nieświadomione) + nauczyciele + uczniowie = (mniej więcej) "klimat".

10. W ostatnich czasach w Hoffmanowej:

### Jeśli chodzi o nauczycieli:

\* Nauczyciele, którzy powodowali rozwój uczniów stali się mniejszością, nie nadającą ogólnego tonu w szkole (a przynajmniej tak mi się wydaje - mogę się w tym mylić). Z drugiej strony: niektórzy z nowych nauczycieli są (jak wieść niesie) stymulującymi rozwój uczniów osobowościami.

### Jeśli chodzi o zasady współzycia:

\* Pojawiły się pewne zjawiska jak: robienie obowiązkowych imprez na sali gimnastycznej (że przypomnę tu tylko wigilię 2000), wyrzucanie uczniów ze szkoły po lekcjach z szatni. To jest ewidentnym tworzeniem bariery szkoła-uczeń, rozwała cały klimat i w ogóle człowiekowi się odciekawa czegokolwiek - ręce opadają... (Nie chce mi się już dłużej tłumaczyć rzeczy oczywiste...)

\* Wprowadzono system monitoringu (kamery, identyfikatory, etc.), który jest jedną wielką hipokryzją, bo nikogo to przed niczym nie ochroni, zaś jedyny argument "że można będzie wykryć sprawców", upada w obliczu następującego faktu: mojemu znajomemu (sorry, ale bez personaliów) ukradziono z plecaka komórkę. Więc się zwrócił do dyrekcji, aby pokazano mu, kto to był. Odpowiedź była mniej więcej taka, że nie zobaczy tego, bo to była osoba spoza szkoły, więc i tak wszystko jedno... No to po cholere te kamery? No to po cholere ta cała błazenada z identyfikatorami? - które w dodatku uczniowie "muszą obowiązkowo nosić na wierzchu", też nie wiadomo, po jaką cholere? (Jakby komuś przeszkadzało, że piszę "cholera", to niech przeczyta "Szewców" Witkacego (lektura obowiązkowa klasy IV) i się odcepi). Tak zwana "Tragedia 11.IX.2001" pokazała, że właśnie żaden system, nie wiadomo jak bardzo super-hiper, nie ochroni przed kimś kto chce nabrudzić. I trzeba być ciołem, żeby tego nie rozumieć. A poza tym jest tak, że najczęściej brudzą nie jacyś "obcy", ale sami swoi. Tylko jakoś nie pasuje się do tego przyznać.

\* Mnie i wielu moim znajomym towarzyszy uczucie, że w Hoffmanowej trudno coś zrobić od początku do końca na własną rękę i odpowiedzialność - w pewnym miejscu pojawia się kwestia "a czy to jest zgodne z czymś-tam?", "to zostanie zatwierdzone, ale...", etc. Może się w tym mylimy, w końcu jest dużo różnych inicjatyw w szkole - więc, tak jakby, dobrze jest. Może jest. A może nie. Nie wiem. Naprawdę.

### Jeśli chodzi o uczniów:

\* Pojawiło się trochę elementu i takiej - jak ją właśnie sobie nazwałem - "przymulastej ciemnoty", ale z drugiej strony, jak kiedyś powiedział Grochu, "każdy mikroświat ma swoich żulów".

\* A poza tym jest bardzo fajnie i przykładowo drugie klasy obalają twierdzenie o tym, jakoby do Hoffmanowej przychodziły coraz to słabsze ekipy. It's not true, z uprzejmością donoszę.

11. W Hoffmanowej nie od dziś są tendencje do przesadnego kładzenia nacisku na uczenie się, przy czym nie daje się najczęściej uczniom "luzu", jeżeli widać u nich brak zainteresowania. To do niczego dobrego nie prowadzi (patrz punkt 6). Powoduje zastój, lub regres emocjonalny, oraz niechęć do rozwoju intelektualnego. To co teraz napisałem to nie jest abstrakcja. Znam zapewne kilkadziesiąt takich przypadków! (Zbyt często kończących się wręcz zniewawidzeniem szkoły...)

12. Choć to, co napisałem w punkcie 7, jest prawdą, to nie zmienia to faktu, iż rozwój emocjonalny uczniów jest tu sprawą małego znaczenia. A powinien być sprawą podstawową.

13. Uwaga: pod pojęciem rozwoju emocjonalnego nie rozumiem tych wszystkich rzeczy w stylu masowego chodzenia np. do teatru, błazeństw "dokulturalniania się"\*, etc. Chodzi o coś znacznie

głębszego i podstawowego. Zresztą - do cholery! - nauczyciele powinni się w tym wszystkim orientować, powinni znać się dobrze na psychologii i nie być automatami realizującymi program. To nie są wymagania. To są podstawowe, oczywiste (jak dla kogo, gorzko\*\*\* dodam) fakty.

14. W ogóle: być człowiekiem to znaczy nie być automatem powielającym schematy społeczno-kulturowe.

15. Stanowczo za dużo nauczycieli ma nerwicę.

16. Stanowczo za dużo uczniów ma nerwicę.

17. Nauczyciele bardzo często działają jak automaty.

18. Uczniowie również, ale oni mają prawo być nieświadomi, bo to nie oni organizują instytucję "szkoła". To nauczyciele dźwierzą tu ster i to oni mają "kształcić" i "wychowywać".

19. Jakby ktoś nie wiedział, to uprzejmie donoszę, że pod pojęciem wychowania rozumiem doprowadzenie do tego, żeby człowiek mógł się rozwijać zgodnie z własnymi predyspozycjami, a nie zgodnie z tym, co przewiduje dla niego system.

20. Nie wierzę, aby ten tekst miał jakikolwiek wpływ na losy tej szkoły, co najwyżej ktoś mi przyzna rację, a ktoś inny zaplonie świętym oburzeniem. Jest on zresztą raczej krytyką całego systemu szkolnictwa, na tle którego Hoffmanowa wyróżnia się bardzo pozytywnie, choć mam wrażenie, że mniej niż kiedyś.

21. Pomimo tego wszystkiego, co napisałem wyżej, w Hoffmanowej może być i jest (przynajmniej niektórym) dobrze.

22. To, że ten tekst mógł zostać wydany, świadczy pozytywnie o tym, co jest w Hoffmanowej. Zarazem jego treść świadczy o tym średnio negatywnie (skupiłem się raczej na tej negatywnej stronie). Razem wychodzi lekko na plus, ale nie za różowo. No i wydaje się, że układ pomiarowy "Hoffmanowa" zmierza w mroczną stronę.

## Postowie

Straszliwie trudno ująć w jakiś jeden model taką plataninę faktów, zdarzeń, szczegółów, ludzi, kwestii formalnych, organizacyjnych, rozmów, etc., etc., gdy to wszystko się miesza, zmienia co chwilę... Może po prostu nie można w ogóle mówić o szkole jako takiej, tylko, zamiast tego, o luźnym zbiorze ludzi-elementów, wzajemnie na siebie oddziałujących. A klimat byłby po prostu stanem świadomości niektórych z tych ludzi, stanem całkowicie subiektywnym i zmieniającym się od osoby do osoby, czasem mało, czasem dramatycznie. Znam ludzi dla których Hoffmanowa jest niemalże Mekką (jak to się pisze?), znam ludzi, dla których jest męczarnią...

Eee tam, dalsze pisanie nie ma sensu. Idę nakarmić karaluchy. Dobranoc.

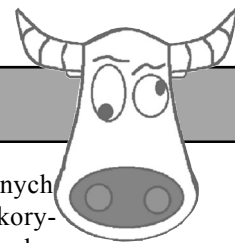
**Rsq**

\* - Wbrew pozorom istnieje całkiem niezła obiektywna definicja celu: celem życia jako takiego jest rozwój (definicja życia!), człowiek jest żywy, więc jego celem też jest rozwój. Takie samo jest stanowisko humanistycznej psychoanalizy (Fromm, Horney). I moje. A ostateczna weryfikacja - doświadczenie - opowiada się właśnie za prawdziwością tego stanowiska.

\*\* - "błazeństwa", bo ludzie często nie robią tego z przekonania, a z musu.

\*\*\* - wbrew ewentualnym pozorom nie jestem zgorzkniałym frustratem. Po prostu jestem żywy i irytuje mnie tak wielka skala tej martwiczej automatyzacji, bo nie popadłem jeszcze w tuniwiżizm. Może rzeczywiście za dużo wymagam, chcąc, żeby ludzie byli ludźmi.

PS. Dziękuję Konradowi za jego krytykę pierwszej wersji tego tekstu - była ona (krytyka), jak się okazało, konstruktywna. Dziękuję też Zuzi za to, co powiedziała na ten temat (BTW: właśnie jest 23:28 i dopijam resztkę mate). No i przepraszam panią Beatę za rozbudzenie. THX 4 ALL.



[zapiski z przejść fazowych:  
październik-grudzień 2001]

## No.1 [Underground]

Tropieni prześladowani niszczeni z premedytacją żyjący w ciągłym strachu spoglądając co chwila za siebie czy nie czai się ktoś czy obława nie zaciska już ostatecznie sznura na szyi uciekając trwamy trwając uciekamy przedłużając naszą nieuniknioną agonię każdy dzień każda noc przesycona trwogą skuleni w sobie omijamy światła latarni nienawidzą nas to cena którą płacimy za świadomość myślenie czucie po zapłaceniu której zostaje przemykanie się w systemach kanalizacji miejskiej odpadki na śmietnikach resztki świetności człowieka czymkolwiek on był znów kroki trzeba uciekać pisk szczurów one nas pomszczą chyba że je też...

## No.2 [Silence]

Było cicho, tak bardzo cicho...

Ogród mienił się promieniami wschodzącego słońca. Krople rosy wiszące na liściach i łodygach odbijały w sobie słowika, siedzącego na gałęzi starego buka. Słowik patrzył na otaczające go piękno i zachwyciwszy się rozpoczął pieśń życia, przebudzenie...

Nagle krzyk dowódcy rozdarł świat. Zewsząd rozległy się serie wystrzałów karabinowych, zrywających korę z brzemienych w owoce drzew. Kwiaty szybko i sprawnie zostały rozdeptane przez żołnierskie buty, zaś starego buka wyeliminowano dwoma granatami. Żywopłot nie stawiając najmniejszego oporu legł zmiażdżony wjeżdżającym nań czołgiem.

Cała akcja nie trwała więcej niż pięć minut. "Kolejne ognisko rebeliantów zostało zlikwidowane. Dziękuję wam chłopcy, dobra robota" - tryumfalnie rzekł dowódca, po czym zarządził wycofanie oddziału.

Na pobojowisku pozostał trup słowika z wyprutymi na zewnątrz wnętrznościami.

I znów zapadła cisza.

## No.3 [Między trakcją a jawą]

*Rybie*

Smok, a właściwie bryła sztywne, stopniał w blasku wczesnoporanego tramwaju, który nucąc cichutko "Rozkwitające druciki trakcji" oddalił się w mgłę budzącego się powoli i bezbronne miasta. Podążmy za nim, a nuż na jakimś nieprzepisowym zakręcie wyjawi nam jedną z tajemnic znanych tylko tym, którzy choć zawsze jadą do przodu, nigdy nie mogą się wydostać z ograniczeń szyn. Chociaż...

Stare podania opowiadane przy blaskach gasnących w zajezdni neonówek wspominały o dniu, kiedy tramwajom urosną skrzydła i będą mogły ulecieć gdzieś tam - hen, daleko - w te wszystkie piękne i zapierające prąd w silnikach miejsca, o których dało się czasem usłyszeć od pasażerów. Ach! Zobaczyć co znaczą dźwięczne słowa "las", "morze", "góry", położyć się na grzbiecie na grani i patrzeć do góry kołami na świat, a gdyby przyszedł maszynista, to wzbic się wysoko w obłoki i ulecieć daleko, tam, gdzie nowe przygody, nowe marzenia...

Lecz póki co czas skrzydeł nie nadszedł, więc trzeba było już iść spać, by jutro znowu czuć w sobie buty nieznanomych lub znajomych, lecz często tak czy siak obcych ludzi. Chociaż też byli ci bliscy, dający ciepło, rozgrzewający od wewnątrz łagodnym głaskaniem poręczy, delikatnymi chuchnięciami w mroźne zimowe chwile, oraz swoimi uśmiechami i oczyma, które mimo wszystko, mimo całej szarości niemal monolitycznie odlanego z betonu miasta i jego mieszkańców, niosły życie...

## No.4 [Razem]

*(after Wilanowska)*

Niechaj więc będzie świat. Świat zgoła nieprzychylny życiu, zięjący bądź próżnią bądź plazmą, w powszechnej władzy drugiej zasady termodynamiki.

Kocham Cię. Wśród jesiennych liści świeci słońce nie zdając sobie sprawy ze sztampowości i ogrania całej tej sytuacji.

W wyznaczonych przypadkach korytarzach płyną społeczno-kulturowo określone ludzie, żyjąc wprawdzie, lecz co to za życie?

A Ty trzymasz mnie za rękę tak jak miliony innych ludzi, właśnie teraz w Argentynie wstaje nowy dzień.

I tak samo mam dwie ręce, dwie nogi i nadzieję, że będę odstającym punktem na rozkładzie statystycznym *homo sapiens sapiens*.

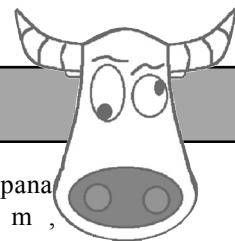
Bo razem patrzymy w jutro, razem tańczymy w dzisiaj - bycie tylko i aż człowiekiem to sens życia, wystarczy spojrzeć w oczy.

## No.5 [Blumen gegen herbst]

Ach, czyż nie jest pięknie w sposób perspektywiczny zagrzebać się in the coffin, gdzie pieśni weselne pływaków żółto-brzeżków roznoszą radość wszem i wobec? Czyż nie jest esencją sensu egzystencji dreptanie w rytmie marsza pogrzebowego gdzieś - hen - wśród pól, po których ciągną się bataliony snopowiązałek myśli? I czyż nie jest wartością najwyższą poszukiwanie kwiatów pomiędzy sznurowadłami transformatorów, śniących beztrudnie wolty niczym rajskie ogrody?...

## No.6 [Zmierzch / Distance in Your eyes]

Czy próbowałeś kiedyś walczyć z jesienią? Ci ze śródmieścia jakoś sobie radzą - zalali ziemię betonem, więc nie rosną nie usycha. Ja zaś ostatnimi czasy wyplewiłem ziemię i zasadziłem na niej drzewa. Ich widok codzień rano dawał mi wiele radości. Lecz tu nagle chmury, deszcz i wtem liście w mym ogrodzie pożółkły, a wiatr pozrywał je i z ogromną siłą sypnął mi w oczy. I już ja sam turlam się, pędzę wśród żółtych liści, rzucany o krawężnik, w kałuże...



W półmroku dalekiego światła latarni spoglądam teraz na moje drzewa - moje kochane drzewa! - i czuję w sobie wielkie zmęczenie...

Ledwo wyrwawszy się ze szponów wiatru, wszedłem, by odpocząć, pełen cichego smutku, do domu. Popatrzyłem na liście zebrane wczoraj w parku, tak wtedy żywe, i... zwinęły się... usychają...

Zaczęła się długa zima...

## No.7 [Królestwo I]

Moje małe królestwo - w poezji, programowaniu, literaturze, fizyce, muzyce - tej melodycznej, a jakże! - z wielkimi planami, marzeniami, rozleniwione i niedbałe wobec dnia codziennego, na ulicach profesorowie i natchnieni poeci, na latarniach gdzieśgdzie kwiaty, a gdzieśgdzie demony sądu ostatecznego wieszające nieboszczyka ludzkości... Tak, to ono - niepokorne, chaotyczne, tu księstwo się buntuje, tam hołdy wnoszą... Niełatwe jest rządzenie takim galimatiasem, niełatwe...

Racz jednak przyjąć ten dar, o Pani, siadając przy mnie na królewskim tronie, gdzieś wieczorem, w kuchni...

## No.8 [Królestwo II]

Otom i ja - cesarstwo u progu wielkiego konania; ale jeszcze nie czas umierać - dopiero jutro, gdy mróz poranka zetnie krew w żyłach i oczy przemienią się w bryłki lodu, tak dobrze znane królowym śniegu, ich saniom i reniferom, często odwiedzającym samotnych chłopców w butwiejących pałacach dzieciennych marzeń. Slogany drapieżnych smutków, religie wieczornych autobusów - to wszystko się przelewa, wlewa i wylewa w stroniczości i niezapominajkach tak dawno nie widzianych, ach... gdzież zginęło moje dzieciństwo?

A tu nauka, praca, obowiązki, intelekt, emocje - madame, czy mogę się pobawić misiem? - gdzie jest mój misio?! Gdzie się rozpadły kwiaty - pięciolotka dusza? Nie mogę jej znaleźć wśród całek, tensorów, nie mogę jej znaleźć - na dłużej! nie na chwilę! - w muzyce, ludziach... Gdzie się

schowałaś? Gdzie? - Już dobrze, niech będzie, przegrałem, ale wyjdź już z ukrycia, proszę - pobawimy się w dom.

A dom? - Szwankująco-nienormalny jak w horyzonty czasu zajrzeć, gdzie jest spokój, bezpieczeństwo? - Gdzie mogę się schować, a głaskanie nie wiąże się z krzykiem za pół godziny? - Gdzie chcę wrócić? - Gdzie?!

Lecz tu znowu rzeczy do zrobienia jutro, sprawy, sprawy, sprawy, słowa, słowa, słowa, a tak chciałbym po prostu być, po prostu być szczęśliwym...

## No.9

[Kulturkampf@XXI.com]

- Co ty tam znowu piszesz?

...Było nas kilku, właściwie kilkoro... Grupa studentów nauk ścisłych, którym nieobce było zajmowanie się sprawami wykraczającymi poza ich dziedziny... Cotygodniowe dyskusje w azjatyckiej kawiarni na rogu Plater i Wilczej budziły w nas wiele emocji i pobudzały do myślenia... Nawet nie zauważyliśmy, jak z naszych rozmów powoli zaczęła się krystalizować nowa dyscyplina - analiza rzeczywistości... Pierwsze próby ścisłych dowodów, współzawodnictwo w ich obalaniu... Potem pierwsze poważne osiągnięcia: twierdzenie Górskiego, lemat Kleyffa, moje Drugie... Im głębiej wchodziliśmy w rzeczywistość, tym coraz bardziej mieliśmy poczucie uciekającego czasu, przerażającego tempa w którym ewoluowała kulturo-sfera naszego gatunku, zaczęliśmy odczuwać chorobliwą wręcz potrzebę działania... Za późno.

Joanna podeszła do mojego fotela, delikatnie dotknęła dłonią moich włosów...

- Kochanie... to nie ma sensu... przecież wiesz...

- Wiem - odpowiedziałem - ale nie mam już innej drogi - nie ma już nadziei, ale stare przyzwyczajenia pozostały, mechanizm dalej działa, choć właściciel zbankrutował... Asiu... tak się boję... przytul mnie...

- Chodź...

Pamiętam jak dziś - był to grudzień, cała

Warszawa zasypana śniegiem, błyszczącym w promieniach ostrego zimowego słońca. Powoli dochodziliśmy do całokształtu, jak ją nazwaliśmy, teorii dynamiki kultury. Nasze ustalenia pokrywały się z dostępnymi danymi antropologicznymi i socjologicznymi. Wtedy też padł pomysł - rzucony bodajże przez Pawła - jednolitego spisanie i wydanie tej teorii. Pasjonowały nas zwłaszcza heurystyczne możliwości modelu: programowanie zmian w kulturze. Rozentuzjasmowani snuliśmy wizje poprawy sytuacji na świecie - przecież większość cierpień ludzi była wynikiem pewnych uwarunkowań kulturowych - obiektywnie suma dóbr (także tych emocjonalnych) na Ziemi podzielona przez liczbę ludzi *zawsze* dawała wynik zadowalający, niestety tylko na papierze, bo w praktyce dysproporcja pomiędzy szczęśliwością garstek, a zdychaniem tysięcy i milionów, czy to w Afryce, czy to w Azji, czy gdziekolwiek indziej, też *zawsze* była faktem. A my mieliśmy projekt zmiany sytuacji...

- Rysiu...

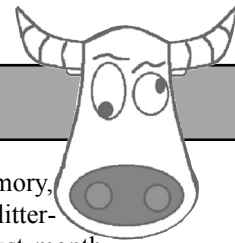
*Światło w zenicie i ożył martwy czas  
Miasto znów walczy ze swym cieniem*

*jeszcze raz*

*Bezwład i próżnia, szybkość i szal  
Cel został gdzieś za nami, ktoś kiedyś*

*go znalazł*

Przez wieki trwaliśmy lecąc do przodu jak bryła sztywna, asymilując w dzieciństwie pewne szablony zachowań, myśli, języka, przekazując je z czasem, z nieznacznymi modyfikacjami, dalej. Wraz z upływem czasu charakterystyczny okres pojawiania się istotnych innowacji kulturowych malał. Nazwaliśmy to przyspieszeniem cywilizacyjnym. Ale nadal innowacje kulturowe - czy był to nowy styl w literaturze, czy wynalazek techniczny - pojawiały się zniemacka i ich wpływ też był przypadkowy - bezwładna bryła naszej kultury ewoluując przypadkowo leciała dalej do przodu, przekazywana następnym pokoleniom. Zaczęły jednak wyłazić niespójności - sprzeczne religie, sprzeczne sposoby na życie, w sumie: sprzeczne systemy. I to sprzeczne nie tylko pomiędzy sobą, ale i wewnątrz.



Tempo ewolucji kultury rosło zatrważająco, a wraz z nim ilość bitów istotnie nowych informacji otrzymywanych codziennie przez człowieka. Ewolucyjnie wykształcone mechanizmy pogoni za istotną informacją pchały ludzi do jej bezkompromisowej asymilacji, co po wynalezieniu i upowszechnieniu telewizji, a później internetu, dawało bezprecedensowe efekty w postaci tracenia, oczywiście przez tych, którzy mieli ku temu możliwość, ponad czterech godzin dziennie na trawienie absolutnie niepotrzebnych do życia i własnego rozwoju bitów. Lecz pomimo tego kultura - choć już powoli rwąca się, szargana własnymi niespójnościami i konfliktami - ewoluowała nadal w sposób niekontrolowany, przypadkowy (pomijając nieśmiałe próby manipulacji językiem i danymi, czynione już systematycznie przez cały XX wiek, czy były to państwa tzw. socjalistyczne, czy kapitalistyczne, jeden pies), bezwładnie powielając się z ograniczoną dokładnością w kolejnych pokoleniach... Ktoś kiedyś musiał to wreszcie zauważyć...

- Rysiu... Gdzie jesteś?...

*Miliony sprzecznych celów mieszają się  
wciąż  
Świat nakręcanych lalek, zdarzenia i los  
Prorocy krzyczą hasła, żebracy się  
śmieją  
Bezduśne marionetki na wietrze się  
chwiewają*

- O, tu jesteś!... Czego słuchasz?

*Nie wiem co jest prawdą na krawędzi snu  
Nie wiem co jest snem na krawędzi  
prawdy*

- Znowu się dołujesz tymi klimatami?  
Daj wreszcie spokój, nie mogliście przecież nic zrobić...  
- Asiu...

*Miasto i noc, miasto i szok  
Miasto i noc...*

*[tekst kursywą to fragmenty utworu  
"Na krawędzi snu" grupy KSU]*

## No.10 [\* \* \*]

Wiązki Tx\*M'ów, które roztrzaskują moją głowę, aby upaść - ale nie: to

nieprawda - ja jestem ponad wszelkimi refrigiratorami, jestem ponad pochodną cząstkową, moja myśl, mimo, iż zagubiona w nocy nieopanowanej matematyki i słabości dziecka zagubionego w anonimowym tłumie, żyje. I choć uspięna w braku czasu i miłości, zbudzi się jednak kiedyś - może już jutro? - i będzie wtedy tańczyć w parze ze słońcem, które, czy to za chmurami, czy nie, to zawsze mówi "niech żyje życie" głosem Ciebie, trzymającej mnie za rękę - oby kiedyś, dziś zima, ale będzie dobrze, ma być.

## No.11 [Donikąd]

Kleista maź, utworzona przez mokry śnieg przemieszany ze spalinami, opadała na ziemię, częściowo kondensując się na mojej twarzy w szklistą powłokę. "Jak to dobrze, że tu jeszcze nie trzeba nosić masek gazowych" - pomyślałem. Zielone światło: tłum wylewający się z pociągu popłynął pasami, jak ciecz lemingów. W tej samej chwili z krawężnika ruszyły dwie postacie - sprzedawca gazet wskoczył między samochody, zaś kobieta smutnie pchająca wózek z dzieckiem ruszyła wzdłuż kolumny dymiących w oczekiwaniu aut.

Każdego ranka co osiem minut na dworzec wjeżdża pociąg. Z każdego z nich wychodzą setki ludzi. Co dwie minuty na pasach koło dworca zmieniają się światła i tych dwoje powtarza swój niemy spektakl. Teatry są niepotrzebne. Dramat tej kobiety...

Ja też byłem tylko spieszącym donikąd przechodniem, który czym prędzej odwrócił głowę. I nie ma rozgrzeszenia.

## No.12 [Sorrow]

Surrealistyczne zwierciadło mojej duszy (duszy? jakiej duszy? o czym pan mówi? proszę opuścić pojazd!) wykrzywia hiperbolicznie cały świat, wraz z tym śniegiem - śniegiem grudnia. My sorrow thought: "Oh... where am I?" and started to seek answer. Unfortunately... "I understand procedure, I understand laws, I understand rules and regulations, I don't understand sorrow" - broken eyes are dying now on the floor, under blood-

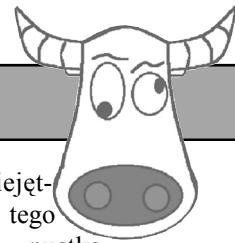
ish axe of memory, that they were glittering with love, just month ago...

## No.13 [To live is to die]

Kto wciąż umiera za oczyma bełkotu stoi przerażenie wołanie na ratunek krzyk dziecka w mroku dnia samotność wyżera życie ubezsensawia wszystko upadam wciąż niżej i niżej nie ma siły w słabości potrzeba ręki ramienia z zewnątrz jestem tu sam w moim koszmarze ależ oczywiście jakim koszmarze to tylko subiektywne emocjonalne perypetie tak ale tkwiąc w środku nie jestem na zewnątrz i nie gram z własnej woli takim mnie zrobił świat naprawdę próbowałem wiele razy coś zmienić w ostateczności bezskutecznie maski nie leczą samotności czy nie rozumiecie czy nie rozumiesz potrzebuję miłości chcę kochać i być kochany chcę dawać mogę dawać mam co dawać ale nie mogę żyć sam nie mam oparcia w sobie po prostu nie mam już więcej siły grać w teatrzykach drugoplanowych że niby nauka życie towarzyskie albo pieniądź albo cokolwiek wszystko to bzdura dodatki puste i mdłe a ja nie wiem co robić nie wiem jak walczyć o miłość nie wiem nie wiem nie wiem co jutro...

## No.14 [Neurastenia]

Powłóczyście pająki - nogi Dalego, powłóczyście żyrafy, żaby, nietoperze, powłóczyście ślimaki, wieloryby, degrengolada słowa powłóczyście, degrengolada słowa czekolada, degrengolada słowa degrengolada... Rozpad! Rozpad! Agonia! Atrofia! - Śliniący się starzec w ciemnej uliczce nad ciepłym jeszcze trupem dziewczyny - he he he - zgnilizna, robaki, intensywna ochrona przed próchnicą/łupieżem/Szatanem/złodziejami. Milczenie owieczek bożych, które tylko beee i meee w folwarku naszych betonowych mieszkań, tak jak bóstwo Kaapi-Thaal każe. Bezład rozpętanych w produkcji nicości mózgow - naturo! ty winnaś naszym cierpieniem! - fioletozielone ogniki płonących miast i oczu, gdy kolejna wojna o Jak Zwykle Coś Bardzo Ważnego.



Ale poza wojną nie jest lepiej - strach siedzi pod sufitami podmiejskich wieczornych pociągów, okrakiem na jarzeniówkach... Możecie tak nie gdakać? - Ależ tak, Milady, daj nam tylko więcej chleba i igrzysk - trochę mordy bliźniego swojego - gdzieś ze dwanaście trupów na godzinę przez dwadzieścia cztery godziny, siedem dni w tygodniu wliczone w cenę abonamentu. Gdy zadzwonisz pod płatny numer i powiesz nam, kto wczoraj zabił więcej, dostaniesz torebkę na głowę wraz ze sznurkiem i pamiątkowym zdjęciem na nagrobek.

*Nagrobki, nagrobki  
Kupują parobki  
Te duże granitowe  
I te małe lastrykowe*

W 1990 roku granitowy nagrobek kosztował 20.000.000 zł, natomiast lastrykowy 8.000.000 zł. Ale lastryko znacznie szybciej się rozpada (pęka) od granitu, więc kupowali je przeważnie tylko ci, których nie było rzeczywiście stać na więcej, bowiem koszty pogrzebu (czyli umieszczenia w glebie pożeranego przez mikroorganizmy zbioru tłuszczu, białek i węglowodanów, które jeszcze wczoraj głośko po głowie) i koszty umieszczenia pokarmu w licznie

zjechanych z całego kraju brzuchach tak zwanych Krewnych, Inc. (nie ma to jak sobie najpierw popłakać oczyszczająco, a potem nażreć krzepiąco) były wbrew pozorom dość spore.

- Arystofanesie, nie sądzisz-li, iż lastryko jest poniekąd estymatą efektywności egzystencji?  
- Poczekaj, muszę sobie rzygnąć...

Tak więc, jak widać, solidne kraty oddzielały nasze oczy i uszy od myśli. I solidna przepaść oddzielała nasze myśli od czynów. I pływały w niej krokodylki śpiewając: "hopsa sa, hopsa sa, lubimy rolmopsa i heroinkę - dirgli dirgli dirgli benc... kłiii!".

Ave Satan, morituri te existence.

## No.15 [Noc]

*w Zwardoniu*

Od tylu lat walczę z ciemnością... Ciągłe przegrywam. Małe potyczki, drobne starcia - dają mi nadzieję... Lecz wszystkie bitwy są przegrane, zawsze pod koniec brzmi krzyk wrony w mroku zapadającym nad pobojuwiskiem mojej duszy, skapaniej we krwi nadziei, znów ukrzyżowanej, lecz wciąż żywej... A może to nie nadzieja? Może to po prostu

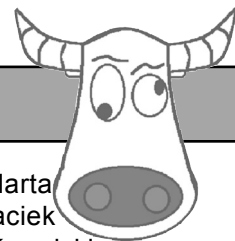
słabość, nieumiejętność przzerwania tego tchnącego pustką teatrzyku porażek? Może nicość i bezsilność wciąż dezintegrujące me wnętrze są moim przeznaczeniem? Może moja walka z nimi jest tylko błazenadą skulonego w kącie dziecka, płaczem i błaganiami starającego się uratować od krążących pod sufitem koszarów?...

Boję się ciemności. I wiem, że mogę z nią wygrać tylko jednym - miłością. Ale dziś muszę też walczyć o miłość... Nie jestem w stanie prowadzić walki na raz na dwóch frontach. Przegrywam więc na obydwu - a one wciąż się do siebie przybliżają, nacierając na mnie z wewnątrz i od zewnątrz. A pomiędzy nimi jest mnie coraz mniej i mniej...

Patrząc z wieży kościelnej na płonące z obu stron przedmieścia ostatniego mojego miasta, pytam się nocy: "Dlaczego?".

Pozostaje już tylko płacz...

**Rysiek**



## A tu jeszcze trochę kultu

### naszej wspaniałej umierającej gazetki...

Oto wielka i oficjalna lista ludzi, którzy kiedykolwiek napisali albo narysowali coś do Anytena (w kolejności takiej, jaka wyszła, czyli żadnej):

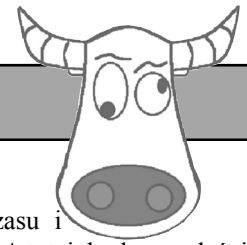
Marcin Żebrowski (Prezes), Pola, Marcin Winiarek, Ania Winiarek, Gosia Winiarek, Tereska Szczepińska, Kasia Wodyńska, Mateusz Grydlik, Witek Załoga, Zbysiu, Marcin Malinowski (Vvd), XDM, Łukasz Więch (Rambo), Ola Sternik, Gosia Strójwąs, Wojtek

Dzikowski (Dziko), Ania Zawadzka (Anizet), Krzysiek Godowski (Hanson), Nika Dybalska (Nikita), Piotrek Traczyk (Traq), Janek Zygowski, Krystian Lewecki (Zwierzak), Krzysiek Sagan, Łukasz Sawka (Sawek), Krysia Żyżyńska, Magda Szlędak, Basia Gburczyk, Łukasz Węclawski (Szwajcar), Sylwia Wojtasiewicz, Justyna Rydz, Andrzej Mogiela (Łysy), Kasia Wysocka, Sylwia Golańska, Michał Drozd, Kuba Onufry Wojtaszczyk, Maja Gawrońska, Magda Sierakowska, Magda Rogowska, Grzesiek Adamczewski, Marysia Kendziorek, Krzysiek Smólski, Magda Szleszyńska (Krótka), Przemek Witrowy (Uczeń Śtazica), Mam.Rott?, Przemek Rogowski (Rogi Killer), Pebe, Eryk Kopczyński (Eryx), Janek Gołąb, Agata

Kamińska, Marta Gawinek, Maciek Rojek, Filip Kowalski, Kuba Lorenc, Kuba Gromadzki, Martyna Obarska, Michał Mładzki, Marta Kroczevska.

Z okazji cudownej śmierci gazetki (nie ma to jak hobbyistyczna eksterminacja) składamy wam życzenia wszystkiego najlepszego i ogłaszamy Wielkie Rozdawnictwo Numerów Archiwalnych: każdy z Was może przyjść do kogoś z redakcji (sorry, Grochu...) i sobie wziąć od niego za friko na wynos z numeru archiwalnego, albo z całą krzywką. Oczywiście o ile (baczność) Ostatniemu RedNaczowi I Zarazem Wielkiemu Zabijaczowi Niewinnych I Winnym Anytenów (spocznij) będzie się chciało...





## Sreberko

*Mowa jest srebrem, więc Wam, drodzy czytelnicy, polecam to, co chciałem tym tekstem Wam powiedzieć.*

*Milczenie zaś złotem, więc to, co myślałem i czułem, i co z myśli i uczuć tych zawarłem w tym tekście, czyli właściwie cały tekst, dedykuję jedynej osobie, która rozumie mnie, gdy milczę. Jest cenniejsza niż złoto.*

Spokojna tafla oceanu migotała srebrzyście blaskiem srebrnego księżyca. Srebrna Flota powoli płynęła ku swemu celowi. Srebrne żagle wisiały w bezruchu oczekując na najmniejszy podmuch wiatru. Statki poruszały się tylko dzięki sile wiosel, napędzanych przez 40 tysięcy świstaków, 24 godziny na dobę zawijających sreberko w sreberko. Karmione co 5 godzin kanapkami zawiniętymi w sreberko, mają wystarczająco siły, by powiosłować dokąd tylko każe kapitan – z czterema srebrnymi orderami i jedną srebrną gwiazdą. Wiosłują więc, przecinając srebrną taflę. Płyną w stronę wyłaniającego się właśnie zza horyzontu słońca.

Tymczasem na Wyspie w komnacie Nadwornego Lizusa ustało chrapanie. Mieszkaniec komnaty zerwał się gwałtownie z łóżka otoczonego wypłowiałym srebrnym baldachimem. Ochlapał twarz wodą, której kropelki migotałyby srebrzyście w powietrzu, gdyby nie fakt, że woda od czasu srebrnych godów króla nie była wymieniana. Ponieważ spał w ubraniu (też nie zmienianym od srebrnych godów) nie musiał marnować czasu na ubieranie się, tylko od razu pobiegł do komnaty króla, by jak zwykle być pierwszym kogo król zobaczy po obudzeniu.

Król otworzył jedno oko i, jak zwykle, zobaczył rozdziawioną w "cudnym" uśmiechu gębę Nadwornego Lizusa. Chciał powiedzieć, też jak zwykle rano, żeby ta gęba zniknęła raz na zawsze, najlepiej pod toporem kata, ale (też jak zwykle) udało mu się tylko zabalgotać. Niestety biedakowi szósty podbródek tak silnie ścisnął szczęki, że od 10 lat (swoich srebrnych godów, tak dla odmiany), nie mógł otworzyć ust. Od tego czasu przyczepił się do niego Lizus, który wytarcie królewskich rąk z tłuszczem o jego włosy błędnie uznał za

namaszczenie. Lizus oczywiście wytłumaczył wszystkim tę wielką łaskę króla, a władca nie zaprzeczył (bo nie mógł) i tak już zostało. Oczywiście codziennie król próbował dać wszystkim do zrozumienia co chciałby zrobić z Lizusem, ale tamten wszystko tłumaczył na oznaki królewskiej łaski. Tak było i tym razem. Król z wysiłkiem podniósł tłustą łapę i puknął w nos Lizusa. Tylko puknął, gdyż gdyby chciał uderzyć, musiałby się zamachnąć, a zamachnięcie się ręką króla wymagałoby spalenia chyba połowy królewskiej tuszy i dlatego Lizus był pukany to w jeden policzek to w drugi. Lizus tłumaczył to jako rozkaz do usunięcia ze stanowiska i świata kogoś, a to z lewicy (lewy policzek), a to z prawicy (prawy policzek), gdyż państwo w którym rzecz się działa było monarchią konstytucyjną, z dobrze (do niedawna) funkcjonującym parlamentem. I tak, z powodu dziwnych zniknięć posłów, trzeba było zmniejszyć dwukrotnie ilość mandatów w parlamencie. A tego pamiętnego poranka król postanowił puknąć Lizusa w nos, więc ten miał problem z interpretacją. W końcu zrozumiał, albo tak mu się wydawało, i w przerażająco szybkim tempie załatwił usunięcie marszałka sejmu. Już następnego dnia znać było efekty: parlament się rozpadł, nikt nie chciał zostać posłem, ludzie nie chcieli głosować, bo po co, jak i tak znikną wybrańcy. Tak więc szarawo-srebrzysta eminenca dworu - Lizus - doprowadził do wprowadzenia w Państwie monarchii absolutnej. Bynajmniej nie oświeconej, bo PKP wyłączyło telefony barkom i samochody w związku z tym nie latały, więc w elektrowniach atomowych zabrakło węgla<sup>1</sup>.

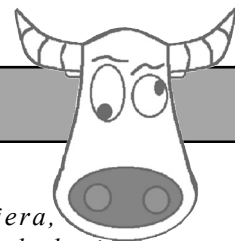
Ale wróćmy teraz do naszego bohatera, do którego właściwie jeszcze nie doszliśmy, a który w międzyczasie... Właściwie był w międzyczasie, nie bardzo wiedział co z sobą zrobić i czy właściwie istniał. Doprowadziło go to do depresji i postanowił popełnić samobójstwo. Ponieważ jednak nie było go teraz, ani wcześniej, a tym bardziej później, tylko gdzieś pomiędzy, trudno było stwierdzić czy powiodło się samobójstwo, gdyż w danej CHWILI, której nie było, nie można było stwierdzić czy żyje czy nie. I w tej niepewności pozostawiamy go tu by...

Powrócić do czasu i na naszą Wyspę. A tutaj dopływa właśnie Srebrna Flota i rozpoczyna szturm. Po krótkiej walce król został zawinięty w sreberko i wywieziony z Wyspy. (W państwie, skąd pochodzi Srebrna Flota, znużyło się świstakowe źródło energii i wybudowano pierwszą elektrownię olejową na świecie. Nie wiedziano tylko co z nią zrobić. Wyruszone więc na poszukiwanie czegoś, co mogło być jej paliwem, być dostatecznie tłuste. I tak pierwszy monarcha absolutny w historii Wyspy zapewnił dostawy energii dla całego Srebrnego Państwa na najbliższe 20 lat.) Ostatni gest obronny króla spowodował, że spadła mu korona, spadając wprost na głowę Lizusa. Mam nadzieję drogi czytelniku, że nie muszę wyjaśniać jak zinterpretował to Lizus. Zresztą na co ja liczę. A więc, tak więc Lizus stwierdził, że ostatnią wolą króla było uczynienie go następcą tronu. Jak nietrudno się domyślić, następnego dnia odbyła się oficjalna koronacja: na tron Wyspy wstąpił Zepperus I.

Tymczasem w międzyczasie, gdzie czas oczywiście płynąco-stoi, nad głową żyjąco-martwego bohatera wypadła superpozycja jakiegoś czołgu. Niestety nie można było ustalić czy dowódca czołgu (odznaczony Srebrnym Orderem Srebrnej Krwi) był winien czy nie, bo jak można sprawdzić winę kogoś kto jest, ale go nie ma, poza tym nie wiadomo było i nie wiadomo nadal, czy bohater to trup, czy nie. I teraz nie pozostaje nam nic innego jak pozostawić obydwu (dowódcę i bohatera) z ich problemami natury egzystencjonalnej i przenieść się do prawdziwego bohatera tej opowieści, czyli:

Pchły Gzegzółki (ale Was zmyliłem z tymi bohaterami, he, he), który właśnie postanowił ugryźć psa. I, proszę państwa!, jakim cudownym wgrzyzem tego dokonał! Proszę zwrócić uwagę na trzeci ząb od lewej! Kunszt mistrza! A teraz znowu zmyła i okazuje się, że bohatera tej opowieści nie ma. Może...

Nasz Zepperus rządził głupio przez 20 lat, po czym do brzegów Wyspy znów przypląnęła Srebrna Flota. Od razu poszli po króla licząc na dobrze wyhodowany okaz, a tu ledwo brzuszek



widać. Zezłościł się i ścieli łeb Zepperusowi, bo uznali go za zły przyrost w ich hodowli tłuszczu. Na nieszczęście dla państwa, król przeżył jeszcze dwa tygodnie, po czym zmarł z głodu, bo nie miał zębów. Większość mieszkańców zalała się ze szczęścia na stypie po Zepperusie, pijąc srebrnymi szklankami, ze srebrnego królewskiego serwisu, napój pana Łyko. Otóż pan Łyko na zapleczu swojej farbiarni wyrabiał ulubiony napój wyspiarzy. Musieli go tylko szybko pić, bo gdy Łyko (w barze Łyknij Sobie) sprzedawał swój eliksir bogów, zawsze wcześniej się ściemniało...

A w międzyczasie, jak to w międzyczasie, nic się nie działo, a przynajmniej nikt kto żyje w czasie tego nie zauważył.

Gdy ostatni z gości Łyknij Sobie zsunął się pod stół (zapewne w celu złożenia hołdu bogom podziemi, którzy musieli mieć związek z magicznym zapleczem farbiarni pana Łyko, gdyż było ono w jaskini), pan Łyko, jak co noc, poszedł do swej jaskini, aby wraz ze swymi myszami planować jak opanować świat. Od kilku miesięcy pracują nad składem Mega Elikssiru.

Nasz bohater, który właściwie nie jest bohaterem, bo nic nie robi, marnuje tylko czas, którego nie ma, załamany swą obecną, międzyczasową sytuacją, postanowił się upić. Jednak na przedostanie się alkoholu do krwi potrzeba czasu, a nasz bohater go nie miał, więc załamał się tak, że aż nabił sobie guza na tyle głowy, uderzając o piętę. Schował więc srebrną piersiówkę w kieszeń i poszedł rozmawiać z czołgistą o bezsensie ich istnienia.

A wracając do miejsca, w którym czas się jeszcze porusza (niemrawo, coraz wolniej, niedługo i tu zemrze znudzony swą bezsensowną egzystencją, ewentualnie sam się zabije patrząc w lustro), możemy przyjrzeć się jak pan Łyko sięga po ostatni składnik Elikssiru, skryty pomiędzy farbą srebrną metaliczną, a srebrną matową. Składnik trochę się wrywa, gdyż są to mysi współpracownicy Łyka. Farbio-karczmarz uznał, że władzą lepiej się nie dzielić, a tym bardziej nie robić (jak uczy historia) triumwiratu, więc po chwili wnetrzości

myszek wrzały wspólnie z resztą kocich i smoczyczych języków, itd. Dopiero teraz Łyko mógł przyjrzeć się swemu dziełu, w blasku świecy płonącej w srebrnym lichtarzyku. Tak! To było coś. Smakuje jak zwykły napój pana Łyka, ale działanie ma piorunujące. Poszerza horyzonty mózgu, stawia wszystko w pełnym świetle i powoduje, że życie i jego sens staje się zrozumiałe. Człowiek, który spożyje eliksir, gdy pojmie sens świata, przyjmie, że jedynym sensownym działaniem ludzkim jest zawijanie w sreberko (świstaki jako istoty wyżej rozwinięte zrozumiały sens życia już wcześniej). A pan Łyko, wykupując jeszcze dziś Świstak Incorporated stał się monopolistą importu sreberka! Ludzie okrzykną go władcą, byleby dostarczał sreberka! Jeszcze tylko znaleźć sposób na to, by upić wszystkich wyspiarzy...

*Międzyczas. Godzina: gdzieś pomiędzy tą, a każdą inną. Osoby: Bohater, Czołgista. Osoby dramatu: przyjdą za 5 minut, czyli nigdy. Czołgista z bohaterem prawie kończą kolorowanie czołgu w srebrne kwiatki i motylki, gdy superpozycja tegoż wypada gdzieś w Obłoku Magellana i nasi artyści pozostają z pędzelkami zawieszonymi w powietrzu.*

CZOŁGISTA: (opuszczając pędzel) Kurde! Zniknął! A ja?!

BOHATER: (coś mówi, ale my go nie słyszymy, bo to bardzo tajemniczy bohater opowiadania)

CHOCHOŁ: Mnie tu nie ma! Ubieram się w com tam mam! Będę za 5 minut, czyli nigdy!

ŚWISTAK: (zawija w sreberka) zawijam, zawijam, zawijam,...

WĄGLIK: (machając wesoło łapkami) zabijam, zabijam, zabijam,...

CZAS: Mnie tu nie ma! Jestem z Chochołem na kawie!

CHOCHOŁ: To pomówienie! Ja się ubieram...

AUTOR: Ja tu jestem, jeszcze!

MÓZG AUTORA: A ja nie, he he. A ja nie!

JAN: Kto mnie wzywał, czego chciał?

CHOCHOŁ: Wypierdalał z mojej piaskownicy! To moja kwestia!

JAN: (załamany odrzuceniem przez społeczeństwo popelnia samobójstwo)

TŁUM: (patrz: Rysiek: "2001")

KAZIMIERZ TETMAJER: Lubię, kiedy świstak...

ŚWISTAK: zabijam, zabijam, zabijam,...

(zabija

K. Tetmajera, zawija go w sreberko i wysyła do Afganistanu jako rację żywnościową. Talibowie myślą, że to bomba i wybuchają)

CZOŁGISTA: (rozwiązując krzyżówkę) A dajcie wy se wszyscy siana!

MÓZG AUTORA: Ja się głównie z niego składałam!

AUTOR: Wypraszam sobie (zabija mózg i żyje krótko i nieszczęśliwie)

CHOCHOŁ: (patrząc przez słomkę na Czołgistę) Ma rację. A dajcie wy se wszyscy siana!

TŁUM: (rozrywa Chochoła i daje sobie nawzajem jego szczątki)

DUCH CHOCHOŁA: Edukacja w tym kraju kiepska, słomy od siana nie odróżniają.

EGZORCYSTA: Ave Satana Belzebuba! Zaraz, zaraz... nie ten psalm...

CZOŁGISTA: (wracając z toalety) Jeszcze tu jesteście?! A poszli won!

BOHATER: (znów nie słyszalny)

AUTOR: Mój ci on! Mój!

BOHATER: (daje w mordę Autorowi)

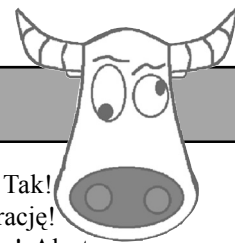
AUTOR: OK! Zrozumiałem! Już idziemy.

Wróciwszy tutaj, gdzie jesteśmy, pomimo uwierania dolnej wargi, jestem w stanie stwierdzić, że Czas powiedziała tu: "Jestem tu! Ale wolałbym nie". Następnego poranka po pogrzebie króla naród stwierdził, że czas w demokratycznych wyborach wybrać nowego tyrana. Mimo ogólnego bólu głowy, ludność dochodzi do wniosku, że osobą która najlepiej potrafi zaspokoić jej potrzeby i czynić szczęśliwą jest (oprócz Elziry spod 6) pan Łyko. I tak pan Łyko, bez żadnych krętaństw i eliksirów mógł zostać królem. Jednak nie został, gdyż powiesił się na sznurze srebrnych pereł<sup>2</sup> na swym zapleczu, tuż obok efektu swej dzwudziestoletniej pracy i utraty dwóch przyjaciół.

CZOŁGISTA: Ponieważ Autor sobie poszedł, ja przejmuję w swoje ręce losy bohatera tego opowiadania. (bierze w ręce losy bohatera i idzie do siedziby Lotto odebrać nagrodę)

LOTTO: W międzyczasie nieczynne.

CZOŁGISTA: A pies ci... (pali losy Bohatera, Bohater zostaje skazany na wieczną tulaczkę i życie bez przyszłości, jeśli to wogóle możliwe w międzyczasie)



BOHATER: *(jesteśmy na tyle blisko, że moglibyśmy go usłyszeć, ale nic nie mówi)*

ŚWISTAK: *(robiąc to, co każdy przyzwyczajony świstak robić powinien)* zawijam, zawijam, zawijam, zawijam, zawijam, zabijam!

Na Wyspie panuje anarchia i przygnębienie. Anarchia bo nie ma króla, a przygnębienie gdyż nie znaleziono przepisu na eliksir pana Łyko. Łyknij Sobie upadło. Farbiarnia upadła. Gospodarka się wali. Pozostałe przy życiu grono mędrców dziwi się faktowi wessania przez dziurę w budżecie czarnej dziury. Postanawiają doprowadzić do zakończenia złego okresu królestwa (w tę lub w tę). Trzeba wybrać nową dynastię rządzącą. Wszyscy mieszkańcy stolicy (uprawnieni do głosowania: mężczyźni w wieku powyżej 50 lat, z podpisaną zgodą obydwójga rodziców) mieli zebrać się na Srebrnym Dziedzińcu i uzgodnić formę wyborów. Skończyło się tym, że do władzy doszli Łełopy (bez wyborów) bo krzyczeli najgłośniej.

A w międzyczasie:

BOHATER: *(znużony grą w szachy z Czolgistą, która trwała by wieki, gdyby nie brak czasu)* Po co mam coś mówić? I tak mnie nie usłyszycie. Przecież nawet teraz tylko czytacie.

CZOŁGISTA: *(wstaje i jak zwykle idzie do toalety, po drodze poślizgnął się na Mózgu Autora)* A fe! A to czyje? Kto nie zdążył?

AUTOR: *(wracając)* Eee, to moje, ale ja zdążyłem, bo jestem!

CZOŁGISTA: *(oburzony)* Jak mogłeś zdążyć, czyli "przyjść na czas"?! Przecież sam nas umieściłeś w międzyczasie, ty idioto! Skleroza cię napadła, co? Za dużo grzybków z tej ściany zjadłeś<sup>3</sup>, co? Ty vogóle spójrz na siebie! Ty! Moim autorem?! Zabiłbym się gdybym mógł, gdybym nie miał siedmiu nóg.

AUTOR: *veni, vidi, morti (całkowicie zrezygnowany pozostawia utwór swojemu losowi i odchodzi)*

ŚWISTAK: zawijam, zawijam, zawijam, hej!

Kilka lat rządów Łełopów doprowadziło kraj do rozkwitu, ale na poziomie epoki kamienia łupanego. Oczywiście przywódcy wytłumaczyli ludziom, jakież to

cudowne zmiany zaszły w ich życiu, oraz że mieszkanie w chlewie jest zdrowsze niż w lepiance. W pewnym momencie (gdy rząd zachwalał płatki śniadaniowe "Koziebobki") ludzie jednak zauważyli, że nawet za Zepperusa było lepiej. Wezwali więc najlepszego znanego im fachowca do rozwiązania tego problemu (czyli do usunięcia z urzędu). Był to Larry Botter – wielokrotny morderca, szantażysta, dwulicowiec, sadysta itp. – zawsze usprawiedliwiany za ładny uśmiech i dokonania z dzieciństwa. Otóż był on jedynym mieszkańcem Wyspy, który kiedykolwiek wygrał walkę i zabił kogoś ze Srebrnej Floty (było to też pierwsze zabójstwo na jego koncie). Bohaterski ten niemowlak, doprowadził do śmierci złego najeźdźcy w sposób genialny w swej prostocie – zgubił pieluszkę (gdyż puściła srebrna agrafka) na drodze Srebrnego, który poślizgnął się i upadł, głową uderzając o kant stołu. I tak Larry Botter został bohaterem narodowym. A teraz właśnie naród znów go potrzebował. A teraz ja mógłbym zakończyć ten tekst i nie nudzić Was więcej, ale laj iz brutal end ful of zasadzkas, więc zaspokoję waszą ciekawość (o ile jest...)

A teraz skończę zaczynać zdania od "a teraz" i wrócę do międzyczasu. Ponieważ jestem Autorem, a ten jak pamiętacie, sobie stamtąd poszedł, więc wracam tam tylko duchem, jako niemy obserwator faktów.

BOHATER: *(ponieważ chce powiedzieć coś ważnego do Czolgisty, miejscowy bóg odkliknął na pilocie MUTE)* Czolgisto! Czy zdajesz sobie sprawę, co los dał nam w nasze ręce?!

CZOŁGISTA: Spaliłem los.

BOHATER: *(nie zwracając na niego uwagi)* Los dał nam siebie! Jeśli nie ma Autora, to w naszych rękach jest formowanie tego świata. Nie ma dla nas już żadnych ograniczeń. My - treść - staliśmy się władcą formy. Mamy w ręku moc kreacji i anihilacji, zarówno materii jak i życia. Nie ograniczają nas żadne wskazania formalne tamtego, eee... "realnego" świata. Nasza myśl jest myślą świata. Czy czujesz jak ten świat – miętka, bezkształtna glina – przemyka między palcami, czekając aż go uformujesz?

CZOŁGISTA: Gówno czuję!

BOHATER: Tak! Może i masz rację! Może to i gówno! Ale to ty możesz ukształtować je w najdoskonalszą rzeźbę świata – Nowy Świat! Nie tylko zewnętrzny wygląd – by zachwycić gapiów, ty... my możemy stworzyć całe wnętrze Nowego Świata, jakim gównem by ono nie było, bo to my jesteśmy tym wnętrzem!

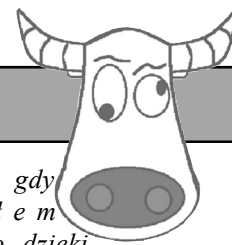
CZOŁGISTA: *(udając zainteresowanie, z ironią)* A kto ci zajrzy do wnętrza stolca?! Przecież zauważa, nawet na najpiękniejszej figurce, że nie wzięła się z głowy.

BOHATER: Ludzie zobaczą, co będą chcieli i na to wpływu nie masz. A jeśli uważasz, że myśl zamknąć można tylko w formie politycznie, etycznie, moralnie i estetycznie poprawnej i że w przeciwnym razie ta myśl nie będzie miała pozytywnego, w każdym rozumieniu tego słowa, wpływu na twórcę i odbiorcę, to co robisz na tej kartce? Pomyśl przynajmniej co się stało! Staliśmy się wolni! Nie tylko mogą decydować o swoim życiu, ale mogą je kreować. Nie czekać na napływające zdarzenia, które wywołują zero-jedynkowe pytanie – skrócić w lewo czy w prawo?, zjeść to czy nie?, przeżyć... itd., ale samemu tworzyć to zdarzenie i oczekiwać od świata odpowiedzi z zakresu liczb rzeczywistych, a samemu cieszyć się władzą nad światem urojonym. Pomyśl! Wybiliśmy się ze świata urojonego człowieka, na którego życie nie mieliśmy wpływu. On chciał, kierując naszym życiem, wpłynąć na myśli innych. Teraz to my mamy życie. Dla nas Międzyczas stał się Czasem. Przestaliśmy żyć dla kartki, oceny krytyków, a zaczęliśmy jak ludzie – żyć dla siebie, by móc się dzielić się życiem grupą ludzi, których nazwać możemy przyjaciółmi, kochanymi, itp. Możemy wykreować to gówno tak, by wnętrze doszło do tych, o których myśleć będziemy tworząc je, a zewnętrzny wygląd trafiał do ludzi. Może nawet wywołać u nich chęć zajrzenia do środka...

CZOŁGISTA: *(mniej ironicznie niż wcześniej)* Ale kał to kał i żadna forma, ani treść tego nie zmienia.

BOHATER: Nie? Przecież ty jesteś treścią i formą, alfa i omegą tego gówna. Przecież od chwili, gdy twoje neurony, w wyniku dziwnego niepowtarzalnego

## Sreberko



połączenia, stworzyły twoją świadomość, masz wybór – pozwolić się formować – wyciągając ręce w oczekiwaniu, czy formować – wyciągając ręce by złapać. Jeśli nie uwierzysz w to, to świat dla ciebie pozostanie gównem; jak uwierzysz – stanie się życiem. Sensem życia nie jest poszukiwanie (lub oczekiwanie) lepszego materiału – jest nam dany jeden, ale obracanie go w palcach do końca.

**CZOLGISTA:** (otwiera usta by spuścić tę scenę, gdyż Zrozumiał, ale jego superpozycja wypadła tym razem w Międzymiejscu)

**BOHATER:** (pozostał sam ze Świstakiem) Zawijaj brachu dalej w to sreberko i czekaj na zmianę świata. Może jednak jestem od ciebie mądrzejszy mając Wiarę. Wiarę w Życie i Świat lub w Kogokolwiek. (robi krok na przód i opuszcza Międzyczas)

**ŚWISTAK:** (na chwilę jakby zwolnił zawijanie, na sreberko spadła słona kropla, a po chwili proces wrócił już do zwykłego tempa)

Bohater nasz wyszedł z Międzyczasu i stanął oko w oko z Larrym. Botter zniszczył właśnie Łełopów, czytając przez dwie godziny książki wymagające myślenia. W ten sposób stanęli naprzeciw siebie – Śmierć za Życia i Odzyskane Życie. Biedni wypiarze po dziś dzień niesieni przeróżnymi falami myśli i uczuć, przepływają od jednego do drugiego.

### KONIEC

*Chciałbym podziękować wszystkim, dzięki którym pod koniec wielodniowego procesu pisania tego tekstu udało mi się odzyskać, a nawet przewyższyć, nastrój*

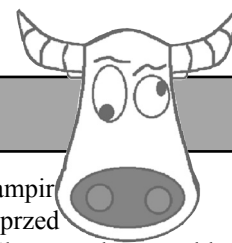
*jaki miałem, gdy w y m y ś l a ł e m początek. Tylko dzięki nim silniejsza fala popchnęła mnie w stronę samego siebie. I tylko dzięki nim omijam wszelkie fale wsteczne i pozostanę sobą przez długi czas. Jestem dumny mogąc nazwać ich Przyjaciółmi.*

### Groch

<sup>1</sup> Wbrew pozorom to nie jest takie bezsensowne. Spora część reaktora atomowego to grafit. (Ale i tak nie radzę traktować w jakimkolwiek stopniu tego tekstu jako fantastyczno-naukowego, co najwyżej fantastycznego.)

<sup>2</sup> Makuszyński nie napisał tylko “Awantury o Basię”. Radzę poszperać. Hasło “Perły i wieprze”.

<sup>3</sup> patrz: “Splątanie”.



## Splątanie

*Dedykowane Zuzi i Rysiu, których miałem przyjemność spotkać niegdyś na wykładzie o splątaniu kota z młotkiem, czyli o fizyce kwantowej dla ubogich.*

System mi się zawiesił. Resztki mózgu leżały na podłodze. Wraz ze swymi cegłami podążyłem w kierunku czarnej dziury. Mój mózg już zginął, a serce pragnęło śmierci. Ciągnęło mnie do tej przerośniętej gwiazdy coś więcej niż siła grawitacji. Horyzont zdarzeń był już na Bankowym. Gdy go minąłem, poczułem jak wyrwało mi moje cegły z rąk. Dopiero wtedy poczułem, że coś straciłem. Uśmiech zniknął z mojej twarzy.

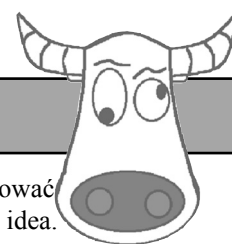
Obudziłem się z letargu. Wizja znów musiała być gwałtowna. Poczułem to po zbyt mocno zaciśniętym kaftanie.

W celi nie było nikogo. Wstałem i podszedłem do okna. Widać było bramę. Tę, którą go wwieźli w dniu gdy wyparowałem. Miał pecha. Stał za blisko. Nawdychał się za wiele mnie. Z początku w jednym ciełe było nam ciasno. Ale doszliśmy do porozumienia. Noc należała do mnie. I teraz, by spełnić powołanie swych imienników, co noc w celi zgryzam resztki farby i grzyba ze ścian... i mam wizje...

Ten dźwięk. Skądś go znam. Kojarzy mi się z parkiem, spacerem z Nią... Nie, to już nie moje. Teraz jestem wampirem pijącym życie z nieszczęśnika, którego do końca życia uwięziłem w tej celi. A za co? Za splot kilku marnych słów, który u ludzi zwie się wypowiedzią, a u mnie bełkotem waria-

ta. I tak jak wampir muszę kryć się przed słońcem. Tym Słońcem, którego blaskiem liczyłem cieszyć się, aż do ostatniego mrugnienia powiek. SŁOŃCE! Tak, to ono jest sprawcą tego dźwięku. To śpiew ptaków szczęśliwych, że dożyły kolejnego wschodu. To śpiew którego nutę moja dusza już nie zaśpiewa... Słońce! To znaczy dzień! Mój czas się kończy! Nie chcę! Jeszcze minutkę. Chcę wyjrzeć przez okno... na słońce. Nie, proszę. Po co panu ta strzykawka?! Ja chcę myśleć, widzieć, czuć... kochać... NIE! Aaaa!...lub wyparować do konnnnnnnnn...

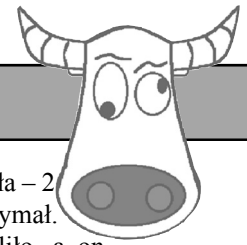
### Konrad “Groch” Grochowski



## Coś

W sercu obumarłej duszy, wśród kleistej mazi myśli, zapłonęła iskra. Ciało nie potrafiło zinterpretować bijącego od niej ciepła. W końcu, gdy całe wnętrze smolistej cieczy zapłonęło, umysł pojał. To była idea. Ogrzewała ciało od wnętrza, dała mu energię jakiej jeszcze nigdy nie czuł. Mógł dokonać wszystkiego o czym tylko marzył. Jednak jemu starczyło tylko rozkoszowanie się swoją siłą. I stał tak naprzeciw wrót do szczęścia, a w jego szklanych, rozmarzonych oczach odbijał się wesoły płomień. Potem żar. A na koniec zostały tylko szkliste oczy. Z chwilą gdy ostatnia myśl zgasła, on zgasł także. Jego szansa wyparowała jak płomień zdmuchniętej świeczki. Został tylko swąd przegranej. Ale on go nie czuł. Spłonął cały. Stała tam tylko niema forma po człowieku, dzień w dzień wypełniająca harmonogram: wstać, jeść, spać. I będzie tam tak stała, dopóki ostatni kornik się nią nie naje.

### Groch



## “Przeminęło z falą uderzeniową”...

*Michałowi Fataliście, bo zawsze gdy fatalizuje przypomina mi, że w moim rozumieniu świata nie warto być fatalistą. (wbrew pozorom ta dedykacja jest jak najbardziej pozytywna)*

[godz. 0:00]

...naprawdę mi się nie podobało, więc z lubością przerwałem czytanie przygód Szkielet O'Hary, by podrapać się po lewej brodawce na górnej wypustce, przy trzeciej ręce. Niestety musiałem wrócić do lektury, gdyż była ona obowiązkowa jako pierwszy melodramat ery postnuklearnej. Pierwszy i jak na razie jedyny. Pewnie tylko dlatego obowiązkowy, bo osobiście uważam, że autorce / autorowi (to jedno z tych ludzi, którym promieniowanie zniszczyło... no wiecie, ten tego) przeminął z falą uderzeniową mózg (nie mówiąc o organach opisanych w poprzednim nawiasie). Jednak poczucie obowiązku doprowadziło mnie do końca rozdziału. Poczucie obowiązku było jednak słabsze od konieczności zachowania mózgu w czterech kawałkach. Poszedłem się więc przewietrzyć, wcześniej szczerze zamykając książkę – tak na wszelki wypadek. Pierwszy dobry łyk tlenu azotu przywrócił mnie do normalnego świata. Postanowiłem się przejść. Idąc ulicami Warszawy (choć ciężko było stwierdzić różnicę między ulicą a wieżowcem) i potykając się co trochę o jakieś odłamki budynków dotarłem na Starówkę (omijając Park, oczywiście, bo odkąd widziałem wybiegające stamtąd drzewo, na którym bawiłem się w dzieciństwie, ogarniało mnie dziwne uczucie (nie strach bynajmniej!) na myśl o przejściu przez Park). Szwendałem się po gruzach, odtwarzając w myślach układ ulic, takie małe ćwiczenie dla pamięci. Zamyśliłem się tak bardzo, że nie zauważyłem nawet jak dotarłem na Bednarską. Uświadomiło mnie o tym uczucie zjeżdżania w dół, po dużej stromiznie, z niebagatelną prędkością. Zapomniałem, że Skarpa poczęła się osuwać i jest trochę bardziej stroma. Od niechybnej śmierci w bajorze wypełnionym “wodą” wiślaną, leżącym w leju u podnóża Skarpy, uratował mnie wielki metalowy palec. Tak, to brzmi dziwnie i mnie też zdziwiło, szczególnie, że po bliższych oględzinach okazał się być palcem ze Statuy Wolności. Po głębszym zastanowieniu doszedłem jed-

nak do wniosku, że przy odpowiednim czasoprzestrzennym układzie eksplozji mógł on dotrzeć aż tutaj. Ponieważ zawsze lubiłem zagadnienia fizyczne, a to było szczególnie ciekawe, nawet nie zauważyłem, że tak idąc na pamięć trafiłem do Parku.

[godz. 0:40. Muszę iść spać, bo jutro... dziś jestem umówiony z Magdą. Na Starówce. Pójdę przez Park.]

[godz. 0:45. Piszę jednak dalej. Wena to wena.]

Zorientowałem się gdzie jestem dopiero stojąc w środku Parku. Wracać nie było sensu, więc poszedłem naprzód. Ponieważ mój umysł był wciąż zmęczony trasą Nowy Jork – Warszawa przez oba bieguny, oraz zalany adrenaliną (dziwne, ale nie zmutowaną) niewiele pamiętam z tej wizyty. Pewien jestem tylko, że drzewa okazały się o wiele przyjaźniejsze niż się mi wydawało. Na następny dzień umówiłem się z nimi na partię szachów, a z kilkoma krzakami na bierki (muszę ćwiczyć zręczność trzeciej ręki). Kiedy dotarłem w końcu do domu jak zwykle na ławeczce, na małym placu zabaw siedziała mała grupka. Im to dobrze: czy to deszcz, czy śnieg, czy fala uderzeniowa, faceci siedzą na ławce i klną, a dziewczęta przy nich się wdzięczą i rechoczą, ewentualnie próbują przebić ich bluzgi. Jedyne co się w ostatnim czasie zmienia, to ich wygląd zewnętrzny. Wyrosło im trochę więcej kończyn. Ale dziś przyjrzałem im się lepiej i przestałem im zazdrościć. Zauważyłem, że coraz trudniej odróżnić Wdzięczące od Klnących. Zamieniają się w jednolitą, bezkształtną, rechoczącą galaretę. Im bardziej galaretowieją, tym bardziej ich nigdy nie używany mózg rozpuszcza się, a oni robią się weselsi, więc bardziej galaretowieją i koło się zamyka. Niedługo staną się jedną wielką kluchą, przerośniętym pantofelkiem. Boże! Jak to dobrze po ciężkim dniu podbudować się optymistyczną wizją. Zastanowiło mnie tylko, gdzie ta klucha będzie mieszkać. Chyba codziennie u innego swego składnika. Brz... to oznacza, że czasem wpełźnie na moją klatkę. Byleby nie zostało po niej wiele śluzu. Ale należy się Wam odpowiedź na pytanie dlaczego napisałem o klatce, skoro wcześniej o gruzach. Otóż mój blok to dobra socrealistyczna robota lat pięćdziesiątych – wielkie kolumny i półmetrowej grubości ściany (średnia z

przedziału 1 cegła – 2 metry). I wytrzymał. Metro się zawaliło, a on wytrzymał (przepraszam! W metrze wytrzymały drzwi przeciwbombowe). Kiedy w końcu wzięłem do ręki “Przeminęło z falą uderzeniową”, zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem zmęczony, więc zostawiwszy oko otwarte tylko na podczerwień, poszedłem spać.

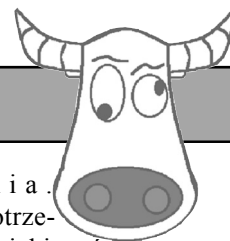
[Już 1:00, a ja nie chcę się spóźnić do Magdy, bo po drodze jeszcze czeka mnie partia szachów z klonem. Nie! Zaraz! Ja o tym tylko piszę! Aaa! Czuję utratę własnej osobowości. Lepiej pójdę spać. Zresztą ręka mnie boli od pisania, powieki ważą tonę, a jeśli spóźnię się godzinę, to Magda może mnie nie zabije, ale chyba sobie pójdzie. No, odłóż w końcu ten długopis. Spać!]

[22:30 Dzięki różnym cudownym zjawiskom udało mi nie spóźnić i nawet wrócić, ale już nie przez Park. Nie mam siły robić matmy, więc będę pisał. No to zaczynamy.]

Moje oko na podczerwień zostało rano mocno pobudzone (zresztą jak zwykle) przez przemarsz protestantów z pochodniami przeciw współistnieniu ich - normalnych - i mutantów na jednej Ziemi. Biedacy chyba dawno lustra nie widzieli. Z radosnymi okrzykami zatrzymali się na skwerku po drugiej stronie ulicy. Spotkali tam na ławce śpiącego niezmutowanego. Facet miał szczęście. Dobre tanie polskie wino zapewniało mu błogi sen praktycznie codziennie. Po prostu przespał falę uderzeniową i mutację. Radosne okrzyki tłumu też nie zrobiły na nim wrażenia. Uśmiechnął się tylko błogo i mocniej przytulił butelkę do piersi. Jakiś obudzony krzak począł krzyczeć na ludzi, by sobie poszli i nie budzili całego parku. Tłum entuzjastycznie rzucił się z pochodniami na krzak. Po rytualnym oczyszczeniu ogniem krzaka z mutacji i rozsypaniu popiołów na cztery wiatry, przewodniczący tego zgromadzenia wygłosił przepiękną mowę na temat roli ich ugrupowania w cywilizowanym świecie i ich humanitarnych celach. Swoją drogą, przewodniczący chyba najdłużej nie patrzył w lustro. Przysłuchując się jego oracjom zdążyłem się ubrać i splukać co większe bakterie HCl'em. Starając się nie myśleć o krzaku, udałem się na partyjkę szachów.

[Ble! Mój mózg chce chwilę odpocząć. Spakuję się na jutro i piszę dalej]

# “Przeminęło z falą uderzeniową”...



[23:15. Dobra, chcę dziś jeszcze poczytać coś (dla przyjemności), więc napiszę tylko o tym, co chciałem napisać siadając do tego zeszytu]

Wychodząc zaobserwowałem ciekawe zjawisko. Po pierwsze: przyszła klucha siedziała na zewnątrz, gdy było jasno. Po drugie: przesiadła się na ławkę bliżej piaskownicy. Doszedłem do wniosku, że nie muszę już bać się śluzu na klatce. Przyszła klucha będzie tu najwyraźniej siedzieć przez 24 godziny na dobę. To miłe. Szczególnie, że ławka przy piaskownicy jest dalej. Jeśli ktoś zastanawia się, czemu się przesiedli, to niech przypomni sobie, że niektóre pierwotniaki (bodajże ameba) wykazują chemotaksję kwasową dodatnią, czyli pełzną do kwasu. A wiecie: przez 17 lat moich obserwacji wspomniana wcześniej piaskownica służyła tylko za kuwetę dla wszystkich psiórków z okolicy, więc sami rozumiecie. Tak wogóle to poczułem się winny nazywając galaretę pantofelkiem. Przecież on miał fototaksję, a poza tym galareta od razu powinna kojarzyć się z nibynózkami. Ech, nigdy nie byłem dobry z biologii, biedny mat – fiz. To może ja umówiłem się na te szachy z dębem, a nie z klonem? Tak czy siak, wolałem się pośpieszyć, bo przez obserwację tej kolonii pierwotniaków straciłem dużo czasu. Szybkim marszem, z podskokiem na ogonie, podążyłem do Parku.

[23:30. Czy naszemu bohaterowi uda się tam dojść? Czy wygra w szachy? Ile wynosi logarytm o podstawie 1999! z pierwiastka stopnia  $-2/3$  z  $-2$ ? Na niektóre z tych pytań odpowiem Ci, drogi zeszyt, przy następnym pisaniu. Czas zjeść kolację]

[23:20. Liczyłem, że dziś napiszę coś w dzień. Ale niestety. I tak jest wcześniej. Nie przedłużam więc]

W parku, niestety, nie zastałem mojego partnera do gry. Okoliczne krzaki twierdziły, że przez noc bardzo rozwinęły mu się mięśnie, podobno kosztem mózgu. Dziś rano odezwał się w klonie zew natury i pobiegł polować na gepardy.



Zrobiło mi się trochę smutno. Widać roślinom nie była pisana inteligencja. Nie przeszkadzało mi to jednak grać z nimi pół dnia w bierki. Po południu znów odezwało się poczucie obowiązku i wróciłem czytać “Przeminęło falą uderzeniową”. Musiałem to przeczytać. Jutro trzeba będzie iść do szkoły.

[Tak, rozumiem ból mojego bohatera, jednak nie przerwę pisania i doprowadzę jego tragiczne losy do końca]

W szkole, oprócz (o dziwo) znużenia, pojawiło się we mnie nowe uczucie. Była to chęć wybiegnięcia na zewnątrz i wydania z siebie donośnego krzyku. Na szczęście w szkole nie było już wewnątrz i zewnątrz. Ale gdy podobne uczucie dopadło mnie na matmie, poczułem się zastanawiać. Znużenie wytłumaczyłem tym, że lekcję prowadziła biedna istota, która chciała zakończyć swą edukację niezależnie od sytuacji na świecie (zresztą jak ci wszyscy, którzy tu zostali, po to chyba tylko, by nie zgłupieć i mieć co robić), a resztę odczuć uznałem za efekty uboczne. Jednak, gdy sytuacja powtórzyła się na fizyce, poczułem się poważnie zaniepokojony. Szczególnie, że dołączyło się do tego wszystkiego pragnienie złapania dwóch cegieł i tłuczenia ich o siebie. Ze szkoły wyszedłem, delikatnie rzecz ujmując, wytrącony z równowagi. Gdy na ulicy spotkałem ludzi, słuchających wywodu jakiejś kobiety o biosyntezie termojądrowej w ludzkim mózgu\*, poczułem się totalnie zagubiony i właściwie biegiem podążyłem ku swym rodzinnym stronom, by tam szukać

wytchnienia. Ponieważ potrzebowałem jakiegoś towarzystwa z  $IQ > 0$ , udałem się do parku. Tam panowała jednak całkowita anarchia, a rośliny stały się nie tyle co drapieżne, ale bezsensownie agresywne. Drzwi zatrzasnąłem z sercem w gardle. Trzęsącymi się rękoma łapałem się czegokolwiek, co odwróciłoby moją uwagę od świata i pobudzało do myślenia (książek, krzyżówek, nawet pracy domowej). Jednak bezskutecznie. Moje oczy wciąż same kierowały się na dwie cegły leżące na parapecie. W końcu, nie wiedząc co robię, wstałem i zacząłem zbliżać się do nich z wyciągniętymi rękoma i uczuciem błogości na sercu. Gdy stuknąłem nimi pierwszy raz, uśmiechnąłem się i poczułem jak nosem, na podłogę, skapuje mi reszka mózgu...

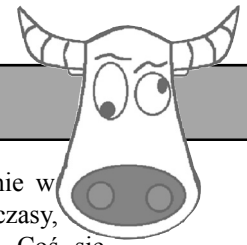


*W centrum miasta, po wielowiekowej nieobecności na Ziemi, pojawił się monolit. Od kilku ostatnich godzin zbierał dane. Był dziś czarniejszy, niż gdy pierwszy raz zawitał na Błękitnej Planecie. Po dokonaniu ostatniego rachunku, począł czernieć wciąż bardziej i bardziej. Kilka człokształtnych stworów spojrzelo się na niego, trzymając kamienie w rękach, z nadzieją w oczach. On jednak pociemniał jeszcze bardziej, przekraczając nawet granicę czerni. Po chwili wszystko w okolicy poczęło czernieć, a stwory poczuły wielką siłę wpychającą je do wnętrza ciemności...*

[23:57 Finito. Jestem z siebie dumny. Może nie oddałem wszystkich uczuć towarzyszących mi przy pisaniu ostatniego akapitu (który jest swoistym hołdem składanym Arthurowi C. Clarkowi), ale podniosły mi one niezłe poziomy adrenaliny. Wizja czarnej dziury w centrum miasta była fajna! Chyba coś jeszcze napiszę, ale tego nie przeczytacie... Dziękuję za uwagę]

**Groch**

\* złączone i ciut przekształcone autentyczne wypowiedzi jednej ze słuchaczek Festiwalu Nauki – przyp. autora



## Outro

Cze!

Nareszcie mogę sobie pozwolić na napisanie outra. Tak. Anyten Mlek (1999-2002) przestaje istnieć. Ale nie płaczcie, bracia i siostry. Jest przyszłość przed nami. Przynajmniej tak głoszą oficjalne źródła.

Kiedy, jesienią 1999 roku, zakładałem Anytena, miałem zamierzenie stworzenia platformy (bez skojarzeń), na której mogliby się skryzalizować i skonsolidować ludzie przedstawiający sobą coś. No i tchnąć w resztę "klimę". Gazetka powstawała pod hasłem robienia psychodelu, ale chodziło (przynajmniej mi) o więcej - reanimację klimatu, którego zwałem niegdyś "klimatem matexu". Chodzi o inteligentne i niezależne, a przy tym przepełnione chęcią życia i inwencją twórczą współbywanie. Trudno to zdefiniować. To trzeba czuć. I właśnie to poczucie chciałem (pod ówczas półświadomie) zaaplikować ludziom. Wyszło średnio. To znaczy: i wyszło i nie wyszło. Pojawiły się i zabłysły w okolicach Anytena pewne osobowości, o których przedtem szerzej nie wiadomo, ja nie wiedziałem. Wiem też, że niektórym Anyten dał trochę spraw wartościowych. I fajnie. Ale jeden z głównych celów - sformowanie grupy - nie został zrealizowany. Cóż. Bywa.

Miałem kiedyś taką teorię, że kolejne roczniki w Hoffmanowej przedstawiają sobą, statystycznie rzecz biorąc, coraz więcej szarżyzny i przeciętniactwa. Tak sądziłem jeszcze w 1999. Ale tak nie jest. (Chyba?). Ostatnimi czasy okazało się za to, że są w Hoffmanowej twórcze ekipy nijak nie związane z Anytenem. Więc misja bycia płaszczyzną integrującą ludzi reprezentujących sobą coś ubezsensowiła się. Są w szkole ludzie (z niektórymi z nich jestem bliżej związany, więc zareczam) którzy świetnie piszą, ale ich twórczość krąży w kręgu krewnych-i-znajomych-królika, a o publikacji w AM nawet nie myśleli. W tym samym czasie okazało się, po odejściu rocznika matura'2001, że grono piszących do Anytena znacznie się zmniejszyło.

No to po co dalej to ciągnąć? - ostatnia ekipa redaktorów, czyli samotny Grochu (bo ja jestem tylko szarą eminencją o zacięciu pseudodemiurgowskim) ma inne ciekawe zajęcia i pomysły.

Uważam Anytena za - wprawdzie nie

pełny, ale jednak - sukces. Pomijając jakieś tam badziewia, pt. bycie najdłużej wydawaną z istniejących kiedykolwiek w Hoffmanowej gazetkach, czy też jakieś tam nagrody w jakimś tam konkursie gazetkach. O.

No i nauczyłem się freestyle'ować w Wordzie, a Grochu w Quarku.

Tyle tematem podsumowań. Ale to jeszcze nie koniec tego outra. Nareszcie bowiem Anyten przedstawia zawartość na - mniemam samouwiebienie - wysokim intelektualno-artystycznym poziomie, z minimalną ilością zapychaczy, a może nawet graficznie jest ładny (w momencie pisania tego tekstu layout numeru nie jest mi jeszcze znany). Chciałbym zwrócić uwagę na teksty Grocha - niektóre z nich powaliły mnie z nóg. Naprawdę. (*Dzięki i wzajemnie - przyp. Groch.*)

To tyle jeśli chodzi o kółko wzajemnej adoracji ;-). Jeszcze słowo o moich tekstach. W ciągu zeszłego roku dużo się w mojej łepetynie przekształciło. O mnie i mojej historii mówi "Baśń". Podsumowaniem tego, do czego doszedłem, jeśli chodzi o życie i emocjonalność, jest tekst "Nad szklanką herbaty". Podsumowaniem (częściowym) moich osiągnięć analitycznych jest "Traktat analityczno-logiczny". Zaś moim zamknięciem wątku Hoffmanowej, może nieco zbyt emocjonalnym, ale - wybaczenie - jestem tylko człowiekiem, jest tekst "Hoffmanowa". Resztę tekstów traktuję jako mniej poważne. I jeszcze jedno: "Confiteor" z AM#13 to pół-wykład tego co sądzę, ale też pół-stylizacja. Wbrew temu co tam napisałem, nie doszedłem (jeszcze?) do jednoznacznego sformułowania teorii kultury, ale może kiedyś się uda.

No i tyle. Sorry za tyle wątków autotematycznych, ale jak już robić outro, to na całego.

Miło było. Żegnajcie.

### Rysiek "Rysiek" Kostecki

PS. Z Anytenem wiąże się dość ciekawe splątanie numerologiczno-osobiste: powstał on w listopadzie 1999. 11.11.1999 o godz. 11:11:11 jechałem do Niej. Przystaje on istnieć w lutym. 02.02.2002 o godz. 20:02:02 zadzwoniłem do Niej. Chociaż nie tej samej.

Ale może właśnie w tym sęk? - inne czasy, inne wnętrze?... Coś się kończy, coś się zaczyna. To już moja prywatna sprawa. Ale splątanie fajne.

PS 2. Jako, iż jest to naprawdę ostatni mój tekst opublikowany na terenie Hoffmanowej (chyba że Bozia, o której uważam, że nie można stwierdzić, ani że istnieje, ani że nie istnieje, przewidziała co innego), to chciałbym jeszcze wykończyć kilka wątków, z takich czy innych względów wymagających wykończenia:

\* Rysiek to strasznie głupia pseudo-ksywa, którą nie wiadomo, jak wymawiać i nie wiadomo jak odmieniać. Właściwie nie wiem, dlaczego sobie taką ubzdurałem. Jeżeli miałbym coś typować, to dawną inspirację postacią Traq'a. Właściwie to powinienem był dawno temu przyjąć i wypromować ksywę Lynx (łac. "Ryś"), ale byłem młody i głupi. I właściwie od tej pory nic się nie zmieniło.

\* Niektórych może drażnić to, że w swoich tekstach używałem i używam czasem (albo i często) miksu slangu z wysublimowanym poniekąd językiem charakterystycznym czasem dla literatury, a czasem dla prac naukowych, nie mówiąc o pojawiających się znienacka wtrętach obcojęzycznych. Niech ich to drażni nadal. Co mnie to obchodzi?

\* W tym co piszę, piszę często o sobie, bo o czym mam pisać? O wzroście wydajności kwintala na hektar upraw ryżu w (uważaj, Zuziu) północnym (!) Laosie? Rzeczy naprawdę obiektywne, nijak nie powiązane z emocjami, to nudziarstwo. Chodzi o człowieka. (Pewien mój znajomy, pewien czas temu, bardzo by się zdziwił słysząc to z moich ust.)

\* Ach, miało być na samym końcu przesłanie moralne... OK. A więc: pełnię życia daje jak najpełniejsze i najgłębsze myślenie *oraz przede wszystkim* odczuwanie. Żyj jak chcesz i pozwól innym żyć jak chcą. Rozwijaj się wewnątrz, bo, czymkolwiek by nie była wolność, jest ona czymś w środku Ciebie, a nie na zewnątrz. Ideologie to tylko słowa, wystarczy nie być destruktywnym wobec innych ludzi i w miarę możliwości nieść dobro, a koleś, który teraz to czyta i reaguje alergicznie na słowo dobro, jest emocjonalnie wyjałowiony. Nie wszystko da się powiedzieć słowami. Nie daj się zwieść tej powszechnej ściemnie. Istnieje coś takiego jak empatia i mądrość. A także miłość (powszechnie mylona z nacechowaną egoizmem fascynacją). Masz jedno życie. Koniec emisji. Teraz można już zjeść frytki.

№ 14

—<Marzec 2002>—

# АНЫТЭН МЛЪЭК

= ЭКСТЕРМИНАЦЯ =



**Czerwony  
Marzec\*  
2002**

***Widmo krąży nad Europą!***  
(bo żadne lotnisko nie chce go przyjąć)

**ЦЕНА:  
1 копейка**

\* - a także wrzesień, październik, listopad, grudzień, styczeń, marzec, kwiecień, maj i czerwiec, a dla nadgoliwych również lipiec i sierpień